

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 6

Jerozolima, 16. czerwca 1943 r.

Rok I

JERZY GALECKI

DWA LATA WOJNY SOWIECKO-NIEMIECKIEJ

Początek wojny

Historyk za lat kilkadziesiąt, określając datę rozpoczęcia serii obecnych wojen, nie będzie się głowił nad sporem o dzień pierwszego czy trzeciego września 1939 r., ale się zastanowi nad rokiem 1937 — początek wojny japońsko-chińskiej i 1941: w czerwcu — początek wojny sowiecko-niemieckiej, oraz w grudniu tegoż roku — początek wojny japońsko-amerykańskiej. Obok tych dat, konkurujących ze sobą pod względem ważności, nie będzie naturalnie uwzględniał innych wojen, jak włosko-abisyńska, domowa hiszpańska, fińsko-sowiecka i t. d., w których bądź co bądź angażowały się także inne państwa.

Dla nas, Europejczyków, niewątpliwie r. 1937 nie ma bezpośredniego, przynajmniej narazie, znaczenia, zaś r. 1941 jest tylko wewnętrznym etapem rozwoju wcześniejszych napięć wojennych. Data rozpoczęcia wojen europejskich, to dzień, w którym Hitler, ich sprawca i inicjator, po bezkrwawych sukcesach w Nadrenii, Sudetach i Czechosłowacji, przez nie ośmielony, niemal zachęcony, zmuszony był po raz pierwszy wydać rozkaz użycia broni, a więc dzień 1 września 1939 r. W ten sposób Polska, Francja i Anglia biorą udział w wojnie od lat blisko czterech, podczas gdy dla Chin jest to już wojna siedmioletnia, a dla Związku Sowieckiego zaledwie dwuletnia. Skoro wojna na wschodzie Europy stanowi więc tylko akt w ramach europejskiego dramatu i jest tym bardziej niepodzielnie związana tylko z nim, ponieważ Związek Sowiecki dotąd uchronił się od wzięcia udziału w wojnie na wschodzie Azji, zarówno przedtem w formie czynnej pomocy dla Chin, jak z chwilą wejścia Ameryki do wojny w formie stworzenia drugiego frontu przeciw Japonii, trzeba przed rozpatrywaniem przebiegu tej wojny dokonać pobieżnego przeglądu poprzednich kampanii niemieckich w Europie.

Kampania przeciw Polsce była pierwsza. Sprzyjały tu sukcesom niezwykle dogodne warunki geograficznego oskrzydlenia oraz fakt, że Hitler był w stanie rzucić do walki absolutną całość swych sił, bez żadnych rezerw, bo słusznie był przeświadczony, po pierwsze, że w obronie Warszawy będzie współdziałał matematycznie niewspółmiernie mniej Anglików lub Francuzów, niż ilość Polaków broniących własną pierśią Paryża i później Londynu w czasie Battle of England, a po drugie, miał w zanadrzu pakt z Mołotowem, dzięki któremu był w stanie tą całość swych sił rzucić naraz do walki w pierwszej linii w czasie bitew na zachodnim brzegu Wisty, gdyż wiedział, że kontratak polski i dalszy opór za Wisłą zostanie uniemożliwiony przez Czerwoną Armię. Natomiast walczące oddziały polskiej o tej hitlerowskiej niespodziance nie wiedziały i liczni wyżsi nawet dowódcy, trwający boju z Niemcami, gdy z tyłu wkraczała Armia Sowiecka, byli w swej poczciwości przeświadczeni, że oto nadciąga sojusznik przeciw Niemcom.

Kampania polska, mimo swej krótkotrwałości, dała bogate doświadczenia wojenne, niestety, wyzyskane tylko przez Niemców, którzy na ich podstawie w zimie 1939 r. gruntownie przeskolili armię od szeregowca do generała i zreorganizowali ją do nowych zadań. Na zachodzie doświadczenia polskie zlekceważono, a na Wschodzie Polaków traktowano jak wrogów.

Następna wojna w Europie, sowiecko-fińska, zimą 1940 r., była znowu terenem generalnych manewrów dla Armii Czerwonej. Niemcy są dotąd wściekli, że dowództwo sowieckie rzekomo znakomicie zamaskowało tam swe rzeczywiste siły. Jak to było naprawdę, nie ma tu miejsca, by się rozwodzić. W każdym razie jedno jest pewne, że podczas tej wojenki oddziały czerwone udoskonaliły swą zażyłość z mrozem i nauczyły się go zaliczać do swych niezawodnych sprzymierzeńców.

Następny z kolei epizod wojenny, to kampania norweska. Siły tu użyte były niewielkie, to też jeszcze przed ostatecznym rozbrojeniem armii norweskiej są Niemcy zdolni desantem powietrznym na Rotterdam rozpocząć kam-

panię holenderską i potraktować ją lekceważąco, jako maskę dla właściwej, jednoczesnej kampanii belgijskiej. Rozprawa belgijska trwa krócej niż kampania polska. Wariackim zaiste stychem pancernym Niemcy docierają do Atlantyku, do Abbeville, podczas gdy Francja, zadowolona, że z pod Sedanu i Namur nie skierowali się Niemcy na Paryż, gorąco kowo przygotowuje nowe linie obronne, linie Weyganda i Somme'y, armia angielskie ewakuuje się z Dunkierki, zaś armia belgijska składa broń.

Rozpoczyna się następna kampania. Najbardziej zdumiewająca jest szybkość, z jaką po wojnie w Belgii Niemcy potrafili obrócić swój front na południe. Bardziej niż wojska walczące należy podziwiać w tym wypadku tyły, organizujące zaopatrzenie. Szybkość niemieckiego przegrupowania sprawia, że w umysłach laików kampania przeciw Francji łączy się w jedną całość z kampanią belgijską, tymczasem są to dwie różne, odrębne wojny. Kampania francuska skończyła się również w rekordowym, krótszym niż w Polsce czasie. Podobieństwo z kampanią polską zaznacza się przez wkroczenie na teren Francji Włoch, ale ta interwencja ma tutaj militarnie niewielkie znaczenie.

Następuje z kolei powietrzna Battle of England. Autorzy angielscy, jak Lyddell Hart, piszą, że gdyby Londyn był wystawiony jeszcze jakiś czas na podobne ciosy bombardowań, to znalazłby się niedaleko od katastrofy. Jakież przyczyny, brak środków zapewne, wstrzymują antyangielskie zapędy Hitlera.

Szuka on dla siebie wtedy zdobyć na Bałkanach, gdzie wiosną 1941 r. rozbija bez wielkiego trudu armię grecką i jugosłowiańską oraz stopniowo powiększa swój udział w afrykańskich walkach armii włoskiej.

Cóż robi przez cały ten czas Armia Czerwona? We wrześniu 1939 r., na podstawie porozumienia z Niemcami, doszła do „linii demarkacyjnej niemiecko-sowieckich interesów” i patroluje „woli ludności” na zajętych przez siebie obszarze. Później zimą walczy słamazarnie przeciwko małej Finlandii. Następnie wiosną 1940 r. wkracza do Estonii, Litwy, Łotwy i Mołdawii, gdzie znowu opiekuje się bezpieczeństwem plebiscytów. Wojskowo mówiąc, organizuje nowe linie obronne, lotniska i rejon koncentracji. Czy ma ona zamiar interweniować w walce Europy przeciw hitleryzmowi? Odpowiedzi na to udziela w lipcu 1941 r. sam Stalin, twierdząc z zapałem, że został napadnięty, że nie miał żadnych agresywnych zamiarów. Ogłasza on obronną „wztoru otyczestwiennu wojnu”. A więc w sumie bilans inicjatywy wojen przedstawia

się następująco: siedem wojen, a mianowicie — przeciwko Polsce, Norwegii, Holandii, Belgii, Jugosławii, Grecji i Związkowi Sowieckiemu, siedem wojen rozpoczęły Niemcy, dwie zaś tylko wojny wynikły z lojalnego, choć narazie nieskutecznego, wykonania traktatowych zobowiązań wobec Polski przez Anglię i Francję. Pod względem formalnym stosunek Sowietów do wszczęcia wojny był taki sam, jak np. Holandii, różnica zaś zaznaczyła się dopiero w toku wojny.

Strategiczne preliminaria wojny sowiecko-niemieckiej

Przesuwanie się Armii Czerwonej na zachód w ciągu pierwszych dwu lat wojen europejskich motywane było względami strategicznymi. Szczególnie umowy z demokratycznymi rządami republik bałtyckich wiosną 1940 r. dotyczyły wyłącznie organizacji na ich terenie baz wojskowych na zasadach analogicznych do tych, jakie posiada Anglia w Iraku. Za uboczną okoliczność należy uznać fakt, że obywateli tych republik po utworzeniu garnizonów sowieckich zapalali gwałtowną chęcią włączenia się do Związku Sowieckiego i widocznie tylko z braku informacji o rzetelności plebiscytu Ameryka dotąd uznaje de jure poprzednie suwerenne rządy Estonii, Łotwy i Litwy, tak jak Turcja rezerwowała w XIX w. miejsce dla ambasadora Polski. Eksperci sowieccy i niektórzy obcy byli zdania, że dzięki temu uchroniono Moskwę i Leningrad przed najgroźniejszym impetem uderzenia niemieckiego.

Dzisiaj jednak bezstronna ocena zdarzeń przyznaje słusność raczej tym polskim fachowcom, którzy nawet siedząc w moskiewskim więzieniu pod zarzutem współdziałania z międzynarodową kontrrewolucją (szyny § 58, przewidujący karę śmierci), domagali się badania przez oficerów sztabu generalnego sowieckiego celem wykazania na podstawie znanych z doświadczenia niebezpieczeństwa strategicznego, wypływającego z nagromadzenia zbyt blisko linii demarkacyjnej zbyt poważnej części sił. Te opinie nie zostały wysłuchane.

Niemcy ze swej strony rozumieli, że kampania sowiecka będzie dla nich trudniejsza od innych, gdyż przeciwnika nie będzie można przyprzeć do morza jak w Norwegii, jak pod Dunkierką, jak w Grecji, ani też nie wystąpi na jego tyłach, przynajmniej narazie, Japonia, stwarzając sztuczną tylko ścianę, podobnie jak to było w Polsce i we Francji. W tych warunkach Niemcy opierali swój plan strategiczny na dwu założeniach wstępnych. Po pierwsze, wyczekać z rozpoczęciem działań do momentu, kiedy maximum sił sowieckich zostanie wysu-

nięte na zachód (chwała się oni, że przez swą dyplomację wywabili te siły na zachód, wciągając je przez to w pułapkę), po drugie, nie dopuścić do ich wymknięcia się z wojennych zapasów przez stworzenie drogą zagonów pancernych, wbijających się sztychami, jak pod Abbeville, zagród na drogach odwrotu. Koncepcja strategiczna niemiecka była z punktu widzenia sztuki wojennej klasyczna, ale operacyjnie została w zarodku wykoślawiona wskutek niedostatecznego uwzględnienia rozległości frontu, na którym sztych o zasięgu Abbeville sprada do roli taktycznej i nie stwarza wcale tego szerokiego oddechu operacyjnego, jakiego znaczenie ocenili w wojnie 1920 r. na tym froncie polski Wódz Naczelny. Strategiczne preliminaria obu przeciwników były więc z gruntu odmienne. Niemcy, mimo Napoleońskich doświadczeń, liczyli, że dzięki motorom zdołają jednak szybko zniszczyć siły bojowe sowieckie, a Sowiety spodziewali się, że przez wysunięcie się na zachód uchronią się od wojny na własnym terenie. Obie strony zawiódły się w swych nadziejach.

Lato 1941 roku

Lipiec, zwłaszcza właśnie te kilka dni lipca, sierpień i początek września — to okres bezprzykładnego pogromu pierwszego rzutu armii sowieckiej. Do Wilna, do Lwowa, do Mińska Niemcy wchodzą prawie bez strat, zagarniając dziesiątki i setki tysięcy jeńców, mnóstwo najlepszego sprzętu wojennego i walcząc niemal tylko z przestrzenią. Sukces wielki, ale nie taki, jakiego pożąдали. Zagony pancerne nie są w stanie zagrozić wszystkim ostępów, lotnicy nie nadążają kość wszystkich dróg. Z pogromu uchodzi często małymi grupkami, niekiedy pojedynczo, znaczna część piechoty, artylerii, czołgów, i to część najlepsza, doskonalą kadrą, która po przebytym chryście wojowym pała żądzą odwetu i w czasie przemyskania się wśród zagonów niemieckich oswoiła się z nimi i poznała ich słabe strony. Znakiem z nich będą dowódcy partyzantów. Lotnictwo sowieckie, nagromadzone w swych sławetnych bazach, na terenach zajętych w czasie ugody z Niemcami, poniosło w pierwszych dniach wojny najdotkliwsze straty, ale personel lotniczy, rekrutowany z elity komсомolskiej, był w owym czasie pierwszym z przeciwników dorównującym Niemcom także i liczebnie. Wreszcie obrona przeciwlotnicza Moskwy w 1941 r. była z pewnością lepiej przygotowana niż w 1940 r. Londynu. Na nie by się wszystko to pewnie nie przydało, gdyby Hitler nie natknął się na Stalina. Szkoda słów, obaj są ludźmi energicznymi i obaj stworzyli koło siebie atmosferę teokratyczną, nie potrzebując w tym celu uciekać się, jak generał Montgomery, do czytania Biblii w czasie bitew. Stalin stanął w pełni na wysokości obowiązków Wodza. Ewakuował rząd z Moskwy, jak Joffre w 1914 r. z Paryża, i sam niepodzielnie poświęcił się sprawom wojny. Już pod Smoleńskiem i Kijowem przybiera ona inny charakter. Marszałkowie i generałowie pozbawieni zostają dowództw frontowych. Głos na froncie zostaje oddany tym, którzy zdali próbę wojenna, a jednocześnie z podziwu godną przytomnością umysłu stworzona zostaje w Moskwie propaganda planu, wzorowanego na 1812 r. Już na początku sierpnia 1941 r. broszury o Kutuzowie zalewają wszystkie księgarnie i stragany Moskwy. Natychmiast też miejsce rozbitych dywizyj zajmują oddziały partyzanckie, groźniejsze dla zagonów pancernych od ociążałych z natury mas wojska starego typu. Prócz tego wszystkiego Stalin, który przez dwa lata przyglądał się wszystkim po kolei wojnom w Europie, teraz z dobrą miną i z dobrym skutkiem w opinii świata domaga się pomocy i otwarcia drugiego frontu. Niespodzianka, jaką sprawił światu przez to, że nie uległ Niemcom, czyni zeń ulubieńca zarówno salonów, jak fryzjersi, i zarówno sklepików, jak i bankietów Europy. Jak za Napoleona kozak, tak za Hitlera gwardzista z NKWD staje się bohaterem dnia. Niewiadomo tylko, czy Tolstoj Nr. 2 pisze już nową „Wojnę i Pokój”. To nie ironia, to prawda rzeczywista.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

ŻYDOM POLSKIM

Pamięci Szmula Zygielbojma

Z polskich miast i miasteczek nie słychać krzyków rozpacz, padli, jak hufiec bojowy, warszawscy obrońcy ghetta... Słowa me krwi nurzam, a serce w ogromnych płaczu, dla was, o Żydzi polscy, polski tułaczy poeta.

Nie ludzie, lecz psy okrwawione, i nie żołnierze, lecz kaci, przyszli, by śmiercią porazić was, wasze dzieci i żony: gazem w komorach wydusić, wapnem w wagonach wytracić i sztydzić umierających, bezbronych i przerażonych.

Lecz wyście podnieśli kamień, by cisnąć nim w kanoniera, który nastawiał działo, by dom wasz zburzyć doszczętnie. Synowie Machabeuszów! i wy potraficie umierać, podjąć bez cienia nadziei walkę, we Wrześniu zaczęta!

Oto, co trzeba wyrzucić, jak w głazie, w polskiej pamięci: wspólny nam dom zburzono, i krew przelana nas brata, łączy nas mur egzekucyj, łączy nas Dachau, Oświęcim, każdy grób bezimienny i każda więzienna krata.

Wspólne zaświeci nam niebo ponad zburzoną Warszawą, gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni: każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo, i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.

Jesień i zima

Pory roku w wojnie na wschodzie mają szczególne znaczenie. Kto tam nie był, absolutnie nie jest w stanie wyobrazić sobie ich wymowy, jeśli nie przeczyta ponownie kilku nowel Jacka Londona o Alasce. Hitler tam nie był, więc w końcu września 1941 r. powziął najgłupszą ze swych decyzji, nakazując jesienią ofensywę celem zdobycia Moskwy. Nie mam pod ręką biuletynów meteorologicznych z tego okresu, ale wiem, że właśnie w końcu września w owym roku ochłodziło się gwałtownie, i historycznym przeglądem ofensywy niemieckiej na podstawie mapy nie ma sensu bez jednoczesnego studiowania tabeli temperatur. Moskwa była już otoczona, Kalinin na północy, przedpole zaś Riazania na południu były ramionami kleszczy, które trząsły jak zmrożony kwiat. Zima należy do armii wschodniej. Inicjatywa przechodzi w jej ręce. Pod Rostowem znaczne zwycięstwo, i pod Kalininem, i pod Tichwinem, i Tuła oswojona, tylko naprzeciw Moskwy Niemcy nie dają się poruszyć ze swych zaawansowanych stanowisk.

Obok operacji zimowych, Stalin rozwija działalność organizacyjną na miarę Carnota i Scharnhorsta zarazem. Przekształca nadwyrężone dywizje w nowe formacje, zwane gwardyjskimi, szafuje awansami, orderami imienia Świętego Aleksandra Newskiego, znosi komisarzy politycznych i doszkala ich na dowódców, później wprowadzi nawet znienawidzone i przez ćwierć wieku ośmieszane „pagony” — epolety cesarskie, wreszcie obojętnie czuwa nad ewakuacją maszyn metalurgicznych za Ural.

Lato 1942 roku

Przezorność Stalina okazuje się słuszną. Latem 1942 r. niemieckie kompanie górskie zatykają szlaki na najwyższych szczytach Kaukazu, ale ofensywa niemiecka jest spóźnio-

na wskutek bohaterskiej obrony Krymu, licznych przeciwdziałań sowieckich w rejonie Kurska oraz z powodu wyraźnie się uwidoczniającej chwiejności decyzji ze strony Hitlera. Armia sowiecka okazuje się zdolna prowadzić działania zaczepne w kierunku Smoleńska, które sprawiają kłopot Niemcom. Zima nadchodzi, a działania na Kaukazie i w Stalingradzie są nierozstrzygnięte.

Zima i wiosna 1943 roku

Znowu wschód triumfuje. O wiele wydatniej niż w poprzednim roku. Zwycięstwo pod Stalingradem zadało Niemcom największą klęskę od czasów Jeny, choć straty były mniejsze niż pod Verdun. Upadek prestiżu niemieckiego i niewiadomo czy powróci. Ponadto Moskwa i Leningrad uwolnione zostały od bezpośredniego zagrożenia. Niemieckie marzenia o Kaukazie rozwiąły się w pył. Obecnie mija już wiosna, a dotąd na wschodzie Europy panuje jak gdyby równowaga sił i Stalin po raz pierwszy dziękuje Ameryce za intensywną pomoc. Co przyniesie lato? Szanujący się człowiek nie może odpowiedzieć, bo przecież Niemcy toczą nie tę jedną wojnę i prócz względów i przesłanek wojskowych wchodzi w grę mnóstwo elementów politycznych, oraz elementy z pozoru, a może naprawdę, irracjonalne.

Wnioski i doświadczenia

Oceniając przebieg wojny sowiecko-niemieckiej, należy wyróżnić, mimo świetności zwycięstwa Stalingradzkiego, jedynie okres lata 1941 r., kiedy armie sowieckie, nadmierne i pytko skupione na świeżo opanowanych terenach, nagromadzone tam nie ze względów czysto wojskowych, ale dla obrony „plebiscytów”, poniosły błyskawiczną, drugoczącą klęskę, która oddała Niemcom we władanie, trwające do dzisiaj, całą Ukrainą i Białoruś, a więc

obszary znacznie większe niż kampania na zachodzie Europy. Tylko zupełny laik mógł wtedy, nie patrząc na podziałkę mapy, szpeczyć się, że Hitler nie zajął od razu Moskwy.

Od tego czasu jedynie kampania kaukaska posiada znamiona strategiczne, ale umiennie charakteryzującą stronę niemiecką. Poza tym dwa lata bojów przypominają łądząco lata 1914—1918 we Francji, lata wojny o skrawki terenu, o wykrawanie i znużenie przeciwnika. Amplituda przesunięć na wschód i zachód sięga wprawdzie niekiedy głębokości 200—300 kilometrów, podczas gdy w tamtych latach była dziesięciokrotnie mniejsza, ale jeśli wziąć w rachubę rozległość frontu i szczupłość stonkowaną wojsk, rozproszonych na tym obszarze, to okaże się, że obie strony wzorują się na tamtej wojnie w bezpłodnej pod względem operacyjnym tendencji do latania każdej dziury. Dopiero amplituda planowego odwrotu lub potężnego zagonu, przekraczającego dystans 300 klm, mogłaby spowodować istotne przemiany położenia i stworzyć nowe możliwości operacyjne. Niemców stać na taki manewr. Fakt, że go nie stosują, dowodzi ich małoduszności, krótkowzroczności. Zobaczymy jednak, że i przeciwna strona, ze względów czysto wojskowych, mogłaby sobie pozwolić na podobny manewr operacyjny.

Drugim bowiem wielkim odkryciem z dziedziny najwyższej strategii, dokonany na podstawie wyników dwuletniej dotąd wojny, jest stwierdzenie, że imperium Stalina rzeczywiście uniezależniło się od Europy i jakby dojrzało sprawiedliwie do wycofania się w swój własny obszar kulturalny. Straciwszy rudy Krzywego Rogu i węgiel Zagłębia Donieckiego, które według starych podręczników były arsenałem tego imperium, czerpie ono swe siły materialne z za Uralu. W ten sposób

potwierdza się w pełni teza Mackindera o bogactwach Heartlandu. Imperium sowieckie odcięte od Bałtyku i morza Czarnego, bez których dawna Rosja od razu by się udusiła, zachowuje zdolność bojową i stwarza memento dla zwolenników „równowagi sił”, coraz dobitniej dochodzące do ich świadomości. Dzisiaj, kiedy trwają walki na przedpolach Moskwy i Leningradu, przedwcześnie straszyc dzieci londyńskie, że Stalin walczy tylko z hitleryzmem, a nie z Niemcami, i że jeśli Armia Czerwona minie Polskę, to z przemalowanych na sowiecko-Niemiec czerpani być mogą komisarze dla Paryża, Rzymu a nawet Londynu. Dzisiaj jednak wydaje się dalej niż kiedykolwiek od realizacji przezornych przewidywań Mackindera i geopolitycznych planowań Haushofera. Prawo geograficzne Mackindera-Haushofera na obecnym zakreśleniu nie przedstawia bodaj w żadnym z wariantów aktualnej groźby.

Bilansując przebieg dwulecia wojny, nie sposób pominąć milczeniem heroizmu, jaki okazuje naród rosyjski. Ta prostracja materialna, w jakiej żyje lud nawet stołecznej Moskwy, jest tak samo niepojęta dla świata, jak mroz eurasyjatycki. Puste żołądki i puste sklepy nie są jednak przeszkodą dla narodu rosyjskiego, by walczyć przeciw najeźdźcy. Polacy z pod znaku Adama Mickiewicza i Tadeusza Kościuszki mają wprawdzie w rozrachunku z Moskwą takie pozycje, jak Katarzyna II i Suworow, rzeź Pragi i Murawiew, i wielu Polakom ciągle świecą się przed oczyma Racławice, i Olszynka Grochowska, i bitwa Niemeńska, ale właśnie Polacy mają w swej tradycji hasła walki o Wolność i dlatego z całego serca życząc bohaterskiemu ludowi rosyjskiemu, który tyle wycierpiał i tyle cierpi, jaśniejszych dni i pogody odrodzonego życia po oswojeniu z pod obcego jarzma.

ŚLEPE ZAULKI HISTORII

Po raz trzeci od półtora wieku jesteśmy — Polacy — na Środkowym Wschodzie i jak dotychczas po raz trzeci w ślepych zaułkach historii. Ja to rozumiem? Po prostu tak, że po raz trzeci bierzemy udział w wielkich wydarzeniach, dochodzących do pewnego punktu i nagle dalsza nasza — na tutejszym terenie — droga urywa się, kończy, nie idzie dalej. Trzeba się, wprawdzie z honorem, ale wycofać, i nikt, lub mało kto, zbyt mało, próbuje do tego punktu martwego nawrócić. Już jeśli nie powrócić na miejsce, gdzie stała sciana w ślepych zaułkach historii, aby przebiec tam przejście dalej, to przynajmniej aby z tego martwego punktu przerzucić jakiś most, jakieś wiązanie w przyszłość i w ten sposób połączyć „przeszłość z przyszłości laty”. Ślepe zaułki zamienić na trudne etapy naszego wspólnego gościnia dziejów. Aby epizod wpleść do historii. Aby wydarzenia rozproszone zamieniać na wspólny dorobek kultury.

Mam tu na myśli trzy ślepe zaułki: udział oficerów polskich w wyprawie egipskiej Bonapartego, misję wojskową gen. Dembińskiego i jej echa oraz udział Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich w kampanii egipsko-libijskiej, znaczone przede wszystkim trzema etapami walk: Tobruk, Bardia, Gazala. Zrobmy pobieżny przegląd tych trzech wydarzeń i prób ich powiązania ze sobą. Bo oczywiście nieścisłe byłoby twierdzić, że jest to temat czy teren zupełnie dziewiczy, jak też trudno by twierdzić, że jest to teren dostatecznie przeorany i dostatecznie kultywowany.

W latach 1798—1801 odbyła się wyprawa egipska wojsk francuskich pod wodzą Bonapartego. Wziął w niej udział Łazowski, Sułkowski, Zajczek. Napoleon ze swymi wojskami musiał się wycofać, ale jego wyprawa nie była ślepyim zaułkiem historii Francji. Ślady kulturalnego najazdu Francuzów, zapoczątkowanego wówczas na wielką skalę, dotychczas przetrwały, i będąc tu, każdy z nas może się nacznie przekonać jak silne jeszcze pozostały on piętno na kulturze Egiptu. Z Polaków zginął nawiększe budzący nadzieje Józef Sułkowski (1770? — 22.X.1798), pułkownik, szef brygady, osobisty adiutant naczelnego wodza, nazywany potem przez historyków francuskich „adjutant-général”, stąd fałszywie przypisywany mu stopień generała. Człowiek, któremu w areopagu francuskim wyznaczono miejsce „drugiej osoby” po Bonapartem, którego miałby być następcą w razie śmierci naczelnego wodza i szefa dyktatoratu... w przyszłości. Kwalifikacja wcale pochlebna. Człowiek, który zarazem za cel postawił sobie oswobodzenie Polski.

Osoba Sułkowskiego miała zaciążyć na planach późniejszego cesarza Napoleona I odbudowy państwa polskiego, co w rzeczywistości sprowadziło się do powołania do życia krótkotrwałego tworu w postaci Królestwa Warszawskiego. I tu przerzut pierwotnego zaułka się skończył. Czy nikt do niego nie nawiązał? Nie, co najmniej trzy osoby w mniej więcej tym samym czasie. Adam Skałkowski, Stefan Żeromski i Szymon Askenazy. Dwaj pierwsi w dokładnie tym samym czasie, bo nie tylko Adama Skałkowskiego „Les Polonais en Egypte 1798—1801” (Cracovie. G. Gebethner et Cie 1910), ale i Stefana Żeromskiego „Sułkowski” związany jest z r. 1910, w którym ten dramat został napisany w Paryżu.

O Askenazym wspominamy tylko ogólnikowo. Do każdego z tych źródeł warto by powrócić.

Skałkowski w swej obszernej, bo aż XCIX i 485 stron liczącej, monografii poświęconej Sułkowskiemu, Zajczkowi i Łazowskiemu, dał najobszerniejszą z biografii Sułkowskiego, z całym aparatem źródłowym, do czasu pojawienia się książki doprowadzonym, a nadto przedrukował pełny tekst „Lettre de Malte” (str. 1—12) i „Notes sur l'Expedition d'Egypte” (str. 12—73). Przyszłemu biografowi dodał też pracę odwagi przy przedzieraniu się przez gęstsze bibliografii, poświęconej wyprawie egipskiej, której pełne zestawienie przygotowuje obecnie sekretarz Królewskiego Towarzystwa Geograficznego Egiptu, p. H. Munier.

Żeromski w swym dramacie, który jest raczej udratyzowaną gawędą historyczną, przez duże „G”, dał przekrój duchowy epoki i człowieka, najwidoczniej cofnawszy się przed zadaniem napisania jego krytycznej biografii, lub choćby tylko biographie-romancée. W każdym razie znamieny jest ten wybór bohatera dramatu dla naszego znakomitego pisarza narodowego, który, zdaje się, będzie bardziej aktualny po tej drugiej wojnie światowej, aniżeli był nim w pierwszym okresie niepodległości.

Wobec tego, że sztuka ta przy pierwszej konfrontacji ze źródłami okazuje się wcale wiernym życiorysem, wypada przy sposobności usunąć jeden błąd, który się tam zakradł na samym końcu. Datę śmierci Sułkowskiego Żeromski wyznacza na 21 października 1798 r. przed śmiercią generała Dupuy, który w dramacie jest jej niejako świadkiem. Natomiast ustalone jest, że Sułkowski został zabity w drugim dniu pierwszego powstania w Kairze, t. j. dn. 22 października 1798 r. W pierwszym zaś zabity został gen. Dupuy, na 24 godzin wcześniej, i wobec tego nie mógł być obecny na tarasie Kwatery Głównej Bonapartego, gdy przyniesiono jedyną ponad pozostałość po Sułkowski — strzęp jego munduru.

O tym samym okresie mówi Askenazy i niewątpliwie zaznacza przejście do okresu następnego, któremu poświęcone jest wspaniałe dzieło Adama Jerzego Benisa, p. t. „Une mission militaire polonaise en Egypte”, (Caire, 1938), dwutomowa praca, wydana przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne Egiptu w serii specjalnych publikacji pod patronatem króla Fauda I, a potem Faruka I. Dwa potężne tomiska na doskonałym papierze, ozdobione trzydziestką starannie wybranych i świetnie reprodukowanych rycin i fotografii, obejmujących co najznakomitsze osobistości z okresu misji gen. Dembińskiego w wicekróla Mahomeda Alego. Jest to kopalnia materiałów źródłowych i wiadomości o okresie obfitującym w zapowiedzi i niespełnione nadzieje. Poważny przyczynek nie tylko do naszego pobytu na Wschodzie i stosunków z nim, ale i rzut światła na wydarzenia z okresu poprzedzającego i na wydarzenia późniejsze. Czy to w sprawie pomnika Sułkowskiemu, postawionego przez Dembińskiego, i jego niewyjaśnionych dokładne losów, czy też w sprawie późniejszych poczyną Polaków na Środkowym Wschodzie, więc wznoszenia ówczesnej linii Maginota przez płk. Szulca gdzieś w Syrii, czy projektów wojny chemicznej Dembińskiego i t. p. Ten bogaty

rozkład tematów z trudnością można już tylko uzupełnić wzmiankami skąd inąd zaczerpniętymi o takiej osobistości, jak ks. T. J. R.... (chciałoby się powiedzieć „Robak”), który podczas powstania w Syrii dostarczał Druzom broni i amunicji.

Sama postać Benisa, młodego, wybitnego dyplomaty, warta uwagi, zwłaszcza, jeśli zdać sobie sprawę ze wspomnień, jakie pozostawił w Egipcie u ludzi życzliwych Polakom. Pojawieniu się jego książki towarzyszyły wypadki tragiczne na coraz to większą skalę. Śmierć żony autora, śmierć ojca jego, jedna po drugiej w miesięcznych ponoć zaledwie odstępach, a po pojawieniu się książki... wojna. Nic zatem dziwnego, że w dossier Benisa dotychczas Tow. Geograficzne nie ma ani jednej wyczerpującej recenzji z tej książki. A mija trzeci rok naszego tu, na Środkowym Wschodzie, pobytu.

Gdy mowa o współczesnych, — nawiasem wspomniemy postać młodego egiptologa polskiego Tadeusza Smoleńskiego (1884—1909), o którym również pamięć tu nie zginęła. Nad zasygnalizowaną już przez „W Drodze” książką Jana St. Bystronia „Polacy w Ziemi Świętej, Syrii i Egipcie” przechodzimy do trzech innych, zupełnie nowych wydawnictw.

Bodaj pierwszym chronologicznie jest artykuł Sokólskiego o Sułkowski w „Ku Wolnej Polsce”. Tym cenny, że napisany przez Polaka, który wychował się na ziemi egipskiej. Drugim jest głos dr. Jana Madeya, strzelca z cenzurem, p. t. „Jesteśmy tu po raz trzeci” w nr. 7 „Naszych Drog”, str. 20-22, oparty na książce A. Lewaka „Dzieje emigracji polskiej w Turcji” (Warszawa, 1935). Historia pomieszana z retoryką, przy czym wyobraźnia autora przemyciła do Egiptu w r. 1798 Maćków, Bartków i Paniczów, choć wiadomo, że nie doszło do udziału 8-tysięcznego legionu polskiego w wyprawie egipskiej. Nie mniej ładną zawiera już listę Polaków z czasów misji gen. Dembińskiego, którym warto byłoby więcej poszczególnie poświęcić uwagi i nowymi nazwiskami pomnożyć. Wreszcie dwa artykuły Adolfa Bocheńskiego p. t. „Aktualność Sułkowskiego i Dembińskiego”, tamże, nr. 16, str. 12—13 i nr. 17, str. 16—17.

Tu fakty wpłątane są tylko między szarżę opinii autora, który podkreśla wpływ, jaki na motywy postępowania Sułkowskiego miały jego radykalne poglądy, dochodzi jednak do wniosku, że „historia musi w ostatecznym obrachunku przyznać słusność Sułkowskiemu”. Tu mimochodem wypada również sprostować lapsus w sformułowaniu toku wypadków. Nie „po Insurekcji Kościuszkowskiej wydosłał się do Francji i po odbyciu z ramienia rządu francuskiego podróży na Bliski Wschód, wstąpił do wojska francuskiego”... i t. d., lecz porażka maciejowicka zaskakuje go podczas pobytu już na Bliskim Wschodzie, co zmienia charakter jego ewentualnego udziału w całym ruchu insurekcyjnym, do czego aluzja znajduje się również w tym artykule. Istotna jednak w tych artykułach jest chęć nawiązania do aktualności omawianych postaci i wydarzeń. Dlatego zasługują nie tylko na uwagę i dalsze spopularyzowanie, ale również i na kontynuację, w szczególności i w zasadniczych zarysach.

Spopularyzowanie przez uwypuklenie sylwetki biograficznej Sułkowskiego i innych wspomnianych wprost czy pośrednio postaci,

bo jakkolwiek zgodzimy się wszyscy z Bocheńskim, iż Sułkowski „pozostanie... jednym z naszych bohaterów narodowych”, sami do niedawna, a niejedni do dziś, nie wiemy, właściwie dlaczego, jakim było jego życie i jaką jego śmierć bohaterska. Kontynuację, uzupełnienie, przez ogłoszenie tego wszystkiego, co udało się zebrać na miejscu o miejscu jego śmierci, o losach jego pomnika, ufundowanego suptem gen. Dembińskiego, o stanie fortu imienia Sułkowskiego, o innych śladach jego tu pobytu w Kairze i Egipcie w ogóle.

Kto wie w jakim stanie zastaniemy w kraju nasze zbiory historyczne? Kto wie w jakim stanie w ogóle było nasze zainteresowanie się tą tak dziś aktualną dla nas postacią, wziętą za przykład, bo napewno nie jedyną? Czyżby więc nie należało przetłumaczyć z francuskiego i ogłosić drukiem — a byłoby to niewątpliwie chętnie czytane — i jego prace oryginalnych, i monografię Skałkowskiego, choćby w części odnoszącej się do naszego bohatera? Czyż nie byłoby zadaniem teatru żołnierskiego przyswojenie sobie odpowiednio przystosowanej wersji dramatu Żeromskiego, jeśli już nie wydanie go od ręki w całości, jako tak pożądanej i naelektryzowanej dynamiką myśli lektury?

Dziś drobnymi stosunkowo środkami można zdobyć materiały tekstowe i fotograficzne, ryciny i t. p., mapy, na które w normalnych czasach trzeba byłobyłożyć stypendia, subwencje, fundusze. Dzieło odbudowy kulturalnej, tej w której nie mogą nas zastąpić żaden przyszli przedsiębiorcy amerykańscy, zacząć winniśmy sami, skoro mamy po temu istniejące instytucje. A znajdzie się czym zainteresować te szerokie, wielotysięczne rzesze emigracji wojennej, wychodźstwa przymusowego. Pozwoli nam to w sprzyjających po temu okolicznościach przerzucić istotne wiązania, pomosty kulturalne do tych naszych ślepych zaułków z przeszłości. A za tym przyjdzie może rychło czas, gdy potoczą się prace nad wybięciem w przyszłość drogi z tego zaułka, jakim stać się wydaje taki Tobruk, po którym żywe wspomnienia zaczyna zasypywać powoli piasek codziennych trosk nowego zbiorowiska naszego na Wschodzie. Oby jak najprędzej ukazały się zapowiadane przez Bocheńskiego w jego „Próbie przekroju Brygady Karpacciej” („Orzeł Biały”, r. III, nr. 13/52 z 4. kwietnia b. r.) książki Jana Erdmanna, Ignacego Kleszczyńskiego i Jerzego Laskowskiego.

J. O-ski

OPERA EREZ ISR. AMAMIT

Repertuar na terenie Palestyny
od dnia 15 do dnia 30 czerwca

16	czerwiec	Tel-Aviv	—	PIĘKNA HELENA
17	"	Jerozolima	—	PIĘKNA HELENA
23	"	Tel-Aviv	—	BAL MASKOWY
26	"	Tel-Aviv	—	PIĘKNA HELENA
28	"	Tel-Aviv	—	PIĘKNA HELENA

KSAWERY PRUSZYŃSKI

OCZYMA ZACHODU

Tegośmy nie wiedzieli

Przed tą wojną przeciętny Polak miał nader słabe wyobrażenie o tym, jaka opinia o Polsce panuje na Zachodzie. Z dzieciństwa i lat przed rokiem 1914 pozostało mu mętne pojęcie o złożonych sympatiach i współczuciach, jakie przez w. XIX nagromadziły się dla nas na Zachodzie, aczkolwiek rzadko bardzo znalazły sobie wyraz w polityce. Wiedział dobrze, że w okresie powstania Państwa Polskiego nieraz we Francji, a zwłaszcza w Anglii, odzywały się głosy o nas krytyczne i niechętne, prasa brukowa zaś karmiła go od czasu do czasu wymyślaniami na ukazujące się zagranicą antypolskie paszkwile. Ale nawet ta prasa przedstawiała je jako głosy „odosobnione“, pochodzące od ludzi, będących nieodpowiednio na czymś „żółdnie“, przez własne swe społeczeństwa odrzucanych i nieuznawanych. W Polsce panował zwyczaj urośnięta sytuacji przez przedstawianie naszych przyjaciół jako pełnych znaczenia i wpływów, naszych zaś wrogów jako ciemne indywidua pozbawione znaczenia. Niestety, było zgoła inaczej. Jeśli w ciągu dwudziestu lat niepodległości naszej powstała na Zachodzie cała literatura poświęcona sprawom polskim, książkowa i dziennikarska, to stwierdzić trzeba, że była ona w przeważnej większości krytyczna, a w znacznie mniejszej przychylna. Trzeba także stwierdzić z największym żalem, że owe uwagi nieżyczliwe nam czy wrogie nie pochodziły bynajmniej tylko od ludzi „płatnych“, stronnicych kanałach, pozbawionych znaczenia. Bywało oczywiście i tak, ale to wcale nie było regułą. Nie tylko Lloyd George, polityk o tak wielkim znaczeniu w swym kraju, odnosił się do nas niechętnie. Był czas, gdy nawet Winston Churchill nie mógł dla nas znaleźć słów innych, jak bolesne nagany: w związku ze sprawą Zaolzia. Jeśli nawet człowiek, który w całym swym życiu tak wspaniale oceniał Polskę jak Churchill słów takich nam nie szczędził, to cóż dopiero powiedzieć o innych?

Czy się nam podoba, czy nie, musimy sobie zanalizować dokładnie przyczyny, dla których Polska nie znajdowała dla siebie na Zachodzie uznania, jak go nie znajdowała Rumunia, czy Węgry, jak nie zawsze je znajdowała Jugosławia, jak natomiast zawsze znajdowały państwa takie jak Czechosłowacja, jak Litwa, jak Estonia, jak Finlandia. Albowiem nie ulega, niestety, najmniejszemu wątpliwości, że tamte państwa były przez Zachód oceniane lepiej, pozytywniej, niż Polska. Dlaczego? Oto pytanie, na które warto sobie spokojnie i beznamiętnie poszukać odpowiedzi. Ktoś może i tu zapytać: dlaczego? Poca walkować przeszłość, zamkniętą jak grób na zawsze? Poca wracać do cieniów przeszłości? A oto wracać trzeba. Albowiem tylko głupiec sądzić może, że przyszłą Polskę możemy budować sami. W naszym położeniu musimy ją oprzeć o coś, co jest siłą na świecie. Jest tym czymś dla nas świat Zachodu, ten, o boku którego walczyliśmy od lat dwóch, więc nie jest dla nas wcale obojętne, co go u nas raziło, a co nie. Przeciwnie, jest to bardzo ważne.

Jak nas widziano?

Otóż to, co już najbardziej powierzchownie uderzało obcych, to była polska nędza. Wyrażała się ona wyglądem wsi polskiej, zwłaszcza na Kresach, stanem dróg polskich, nawet w Sandomierskim, wciąż olbrzymim analfabetyzmem, haniebnym stanem motoryzacji, przeraźliwie niskimi cyframi spożycia cukru, mąki, tłuszczów, mydła na głowę ludności. Wprawdzie wschodnie ziemie Polski należały do bardzo niedawna do zacofanej Rosji, ale cudzoziemiec odpowiadał, że to samo można powiedzieć o Litwie, Łotwie, czy Estonii, a jednak w owych krajach, liczących milion do trzech milionów ludności, analfabetyzm znikł zupełnie, drogi stały się europejskie, nakłady pism znacznie wyższe niż naszego „Ikaca“, czy „Czerwoniaków“ warszawskich, gospodarstwa rolne przeżyły w ciągu tych lat dwudziestu ów ogrom rozwoju, jaki dzieli kurną chałupę poleską od zagrody duńskiego chłopca, posiadającego centryfugę, inkubator, samochód. Aby pokazać postęp polski, kierowaliśmy ludzi do Gdyni; u tamtych naszych małych sąsiadów litewskich czy estońskich postęp był widoczny wszędzie, na każdym kroku, w każdej wsi. A przecież oni byli daleko mniejsi! Mysmy wtedy odpowiadali jeszcze co innego: „Oni (t. j. Łotysze czy Litwini) nie zbroją się, a my stoimy gotowi do obrony naszej niepodległości. Litwa ma 15.000 wojska, a my 250.000“. Niestety, do obrony naszej niepodległości byliśmy gotowi jedynie moralnie. A na to nie trzeba pieniędzy. Natomiast materialnie nie byliśmy gotowi. Produkowaliśmy doskonałe działa przeciwlotnicze, ale sprzedawaliśmy je obcym. Szkoliliśmy świetnych lotników, aleśmy nie umieli im dać maszyn. Mówiliśmy wiele o wojnie motorowej, ale ledwo na ostatnią chwilę przygotowaliśmy minimalne ilości czołgów. To znaczy, że sumami, wydawanymi na wojsko, gospodarowaliśmy źle. Odejmovaliśmy sobie od ust, część ludności chodziła boso, drogi grzęzły w błocie, samochód był na wsi dziwowiskiem, ale cośmy zaoszczędzili na drogach, na szkołach, na życiu, na wszystkim, tośmy źle wydali, gdy chodziło o przygotowanie obrony.

Wszędzie, wszędzie, wszędzie...

Cudzoziemiec, wysiadłszy w Pradze czeskiej z wagonu idącego z Zachodu, zastawał

w urzędach czeskich ministrów-rolników, ministrów-ekonomistów, ministrów-profesorów, ministrów-cywilów. Wiedział, że istnieje tam i działa parlament, że są wybory, że odbywają się one bez cudów. Wiedział, że te rządy, jakie są, odzwierciedlają mniej lub bardziej wyraźnie wolę ludności całego kraju, — nie wolę jakiegś przypadkowej grupy, jak np. dzisiejsza emigracja. Jeżeli przybywał do Kowna, Rygi, czy do Tallina, spotykał go ten sam widok. Czasami premierem był tu rolnik, chłop, czasem działacz spółdzielczy, czasem był nauczyciel ludowy, czasem profesor, czasem kupiec. W Polsce było inaczej. Przyjechawszy do Wilna, zastawał cudzoziemiec płk. Bociańskiego jako wojewodę, a przyjechawszy do Krakowa, zastawał jako wojewodę płk. Świątalskiego. We Lwowie dowiadywał się, że tam wojewodą jest płk. Belina. Dyrektorem Banku Gospodarstwa Krajowego, powiadano mu, jest na odmianę gen. Górecki, ministrem komunikacji jest płk. Ulrych, ministrem spraw zagranicznych jest płk. Beck, premierem pułkownicy kolejno: Sławek, Świątalski, Prystor, ministrem skarbu — płk. Matuszewski. W Łodzi okazało się, że na czele wielkiego koncernu włókienniczego stoi z ramienia państwa gen. Maciszewski, w COP-ie okazywało się, że przemysł polski buduje gen. Litwinowicz. Już to samo musiało cudzoziemcowi wydawać się niezupełnie w porządku. Cudzoziemiec zrozumiałby jedno, drugie nazwisko. Nieraz armia wydaje ludzi bardzo zdolnych. Często się zdarza, że w okresie wojennym armia wchłonięła cały szereg wybitnych indywidualności i potem zwraca ich elementowi cywilnemu. Ale jest różnica pomiędzy wyjątkami a regułą. Cudzoziemiec nie jest przyzwyczajony do tego, aby w rządzie angielskim czy francuskim, czy amerykańskim roziło się od mundurów. Przeciwnie. W tamtych rządach nawet ministrami spraw wojskowych byli z reguły cywile. Natomiast cudzoziemiec obojętnie przypominał sobie, że gdy był ostatnio w Rumunii, to tam właśnie był u władzy gabinet marszałka Averescu, a gdy przejeżdżał przez Ateny, to tam rządził jako premier-dyktator gen. Metaxas. Cudzoziemiec przypominał sobie też, że na Węgrzech władą admirał Horthy, w Jugosławii zaś posiada władzę dyktatorską gen. Ziwkovic. Cudzoziemiec przypominał sobie także, że gen. Quappa jest prezydentem republiki San Domingo, a gen. Aguirre premierem Hondurasu. Przypominał sobie także, że o tego rodzaju republikach południowo-amerykańskich mówi się, aby je zganić, że są rządzone przez kliki wojskowe. Tak się stało, że nigdzie rządy wojskowe nie okazały się rządami dobrymi. Ani dla państw, którymi rządziły, ani dla armii, z której wyszły. Ani Niemcami, ani Rosją, ani Anglią dzisiejszą, ani Stanami Zjednoczonymi nie rządzili w najmniejszym nawet stopniu wojskowi. Hitler brutalnie odsunął ich od władzy, wymordowawszy paru ambitnych intrygantów w rodzaju gen. Schleichera czy płk. Bredowa; jeszcze w czasie wojny dostrzeżli pod Warszawą Fritscha. Okazuje się, że armia niemiecka nie zapadła się dłatego, że zabrakło jej pewnych, niewątpliwie nader uzdolnionych ludzi. Daje sobie i bez nich radę.

Plamy i cienie

Tych kilka barw nie były jedynymi, jakie obcym z Zachodu malowały na czarno obraz Polski. Już na samym początku powstania Państwa Polskiego dowiadywał się Zachód o zaburzeniach antysemitycznych. Z tych zaś czy innych przyczyn cały Zachód, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja uważały antysemityzm, zwłaszcza posuwający się do zamieszek, jako objaw zwyrodnienia, barbarzyństwa, ciemnoty i wsteczności. Czy chcemy, czy nie chcemy, jest właśnie tak a nie inaczej. Jakie przyczyny się na to złożyły, o to mniejsza, dość, że tak jest. Opinia o Polsce, Rumunii i Węgrzech była w oczach Zachodu splamiona właśnie antysemityzmem; dzięki antysemityzmowi tych krajów, uważano je za zacofane, reakcyjne, wsteczne; o krok stąd było pomawianie o feudalizm, a z czasem o totalizm. O Czechosłowacji, Litwie, czy Estonii świat nie był tego zdania — i dłatego także obraz tych krajów przedstawiał się Zachodowi jasnie. Kiedy w Polsce, na Węgrzech i w Rumunii zapanały ustawy antysemickie (np. numerus clausus), które zgoła nie istniały w Czechosłowacji, na Litwie, czy w Estonii, to ów

antysemityzm pierwszych lat, dotąd tłumaczony przez nas wydarzeniami wojennymi, przybrał formę stałą i legalną. Tym dla Zachodu gorszą. Kiedy jeszcze później przyszedł coroczna jesienne rozruchy studenckie, przyszedł Przytyk, przyszedł inne zajścia, obraz Polski domalowywał się barwami jeszcze bardziej ciemnymi. Zapewne, w oczach hitlerowskich Niemców owe barwy antysemickie byłyby może jasne. Tam zjednywałyby nam pewne sympatie, tam znajdowałyby zrozumienie. Ale cokolwiekbyśmy o tym powiedzieli, nawet gdybyśmy uznali nasz antysemityzm za rzecz złą i cenną, albo za „usprawiedliwioną“ winą Żydów, jedno jest arcyprawne: to wszystko zrażało do nas Zachód. Do najwyższego stopnia. Oczywiście, wolno sobie nie robić z Zachodu. Ktoś, kto uważa, że Polska jest zdolna powstać o własnych jeno siłach, może, rzecz jasna, sobie na to pozwolić. Ktoś, kto sądzi, że Polska powinna powstać w „oparcu“ o Niemcy hitlerowskie, — także może sobie na to pozwolić. Ale ktoś, kto chce Polskę oprzeć o Zachód, o świat wyrosły z Rzymu i Chrześcijaństwa, przepojony Prawem, uwielbiający Wolność, dążący do Równości, — taki człowiek sobie tego powiedzieć NIE MOŻE.

Zdradzone tradycje

Obcym, przybywającym z Zachodu do Polski, powiadałoby nieraz: gdy u was płonęli ludzie na stosach i gdy u was tysiące ludzi ginęło dłatego, że byli kalwinami w kraju katolickim, czy katolikami w kraju protestanckim, to u nas, w Polsce, kościoły stały obok zborów, cerkwie obok meczetów, a w senacie niemal wszyscy dostojnicy byli protestantami. Mówiliśmy im jeszcze: kiedy wasze kraje rozrastały się na drodze walki i podboju, nasz rozrastał się poprzez dobrowolne unie sąsiednich ludów, którym wolno było zachować u nas ich mowę, ich wiarę, ich obyczaje, których nikt nie zmuszał, aby byli Polakami, czy katolikami. Mówiliśmy jeszcze: kiedy u was na mocy zwykłego polecenia władzy wolno było wiezić bez sądu i winy, to u nas na zaraniu XVI-go stulecia prawo postanawiało „nikogo nie będziemy wiezić, nim nie skáže go sąd“. I pytaliliśmy się cudzoziemca, czy nie mamy prawa być dumni, że na stulecia przed innymi krajami mieliśmy u siebie wolność narodową, religijną i prawną? Ale obcy z Zachodu uśmiechał się smętnie. A potem pisał o tym, co to jest pacyfikacja, pisał o tym, że bez sądu zamyka się ludzi w różnych Berezach, że zgoła nie przy pomocy księży „nawraca się“ na katolicyzm prawosławnych chłopów w niejakich Hrynkach na Wołyniu, że ilość szkół ukraińskich maleje, białoruskich niemal zupełnie znikła. „Nowa Polska“ — pisał znakomity publicysta angielski — „nie kontynuuje wcale swych wielkich tradycji historycznych; jest ich zaprzeczeniem pod bardzo wieloma względami“. I obraz, jaki unosił od nas, obraz już i tak niejasny, stawał się coraz ciemniejszy.

Odrabianie

Strasliwa ulewa, jaka runęła na nasz kraj od dnia 1 września 1939 r., poczęła jednak krwią i ogniem zmywać owe ciemne barwy. Okazało się, że armia nasza nie idzie razem z Hitlerem, przeciwnie, idzie przeciwko niemu. Okazało się, że Polska wybrała miejsce po tej samej stronie co Francja, co Anglia, co Zachód, a nie po tej samej co faszystowskie Włochy i nacjonalistyczne Niemcy. Obcy, którzy wiedzieli, że pisma polskie ostatnich lat były pełne hasła antysemickich, podziwu dla „dokonań niemieckich“, a sympatyj dla włoskiego faszystyzmu, dla hiszpańskiego generała Franco, dla rumuńskiego Codreanu i prohitlerowskich Słowaków Tuki i Hachy, teraz widzieli, że to wszystko było jedynie maską rzeczywistej Polski. Polska rzeczywista, — to była ta co rękami kobiet i dziećmi broniła Warszawy, walczyła pod Kutnem, krwawiła się pod Lwowem, trzymała się w Westerplatte i pędziła przed siebie do Gdyni. Polska rzeczywista, to były te tysiące co szły przez granice leśne Karpat do armii tworzonej na ziemi obcej. To byli ci górnicy z Francji i ci robotnicy rolni z Belgii, którzy poszli na pierwszy zew, niedawni ochotnicy walczący w Hiszpanii, a pozbawieni w Polsce obywatelstwa. To był ten rząd, który nie skapitulował, jak to mu doradzali małoduszni i przykład zdradziecki

Petaina. To byli wreszcie ci żołnierze, którzy podjęli bój pod Narvikiem, choć im mówiono, że idą na jakieś nowe San Domingo, ci marynarze, którzy walki nie przerwali na moment, a wreszcie ci lotnicy, którzy jesienią 1940 r. nad zielonymi wzgórzami Anglii umieli pokazać, że choć państwo polskie nie umiało dać im maszyn, naród polski potrafił wydać znakomitych lotników.

Szkodnicy

W pierwszej części mego artykułu wykazywałem, jak krok po kroku Polska traciła sympatię Zachodu. W drugiej, teraz właśnie, kreśliłem, jak Polska powoli, od 1 września 1939 r., sympatie te odzyskiwała. Prawda, i tu były rzeczy, które nam zaszkodziły. Zaleszczyki. Krótkotrwałość polskiej obrony. Francja, swym tragicznie haniebnym przykładem, przesłoniła to dopiero później. Cóż jeszcze szkodziło Polsce? Gdy owej jesieni lotnictwa polskiego grupa awanturniczych molojców poczęła wydawać w Londynie swistki antysemickie, profaszystowskie, totalistyczne, wysmiewające demokrację, to nam nie pomogło. Nasi wrogowie mogli zacierać ręce. Tak samo jak nasi przyjaciele angielscy podkreślali w prasie i opinii każdy samolot niemiecki stracony przez polskie dywizyjony, tak samo nasi wrogowie wykorzystywali każdą taką wypowiedź i swistek, starając się nimi przekreślić tamte dokonania. A wrogów mamy wciąż wielu. Podczas gdy jedną na Zachodzie gromadzili nam kapitał zaufania, sympatii i poważania dla Polski, tak nam potrzebny na konferencję pokojową, dla naszej niepodległości, granie, wreszcie odbudowy po strasliwym zniszczeniu, durnie albo zbrodniarstwo, niepożyteczni lub agenci obcy, starali się jak mogli kapitał tego zaufania podciąć. Ta walka Pożytku i Szkoły trwa na Zachodzie dalej. Jakże działalność tych korników jest na korzyść naszych wrogów!

Czy samo męstwo starczy?

Albowiem myli się ktoś, kto myśli, że samo męstwo lotnika, marynarza czy żołnierza polskiego, Kutno czy Tobruk, już światu zachodniemu wystarczy. Tak nie jest. Świat zachodni ma dobre wyobrażenie także i o lotnikach niemieckich. I oni są dzielni. I oni bywają odważni. I jak! I od naszych bomb lotniczych giną niekiedy dzieci. Jest jednak co innego, co silnie odrzuca ludzi z Zachodu od tych „dzielnych Niemców“. Oto świat pojęć dzielnych niemieckich pilotów — to właśnie to wszystko, co Zachód potępia i z czym walczy. Zachód nie chce, aby w Europie panowała branie za mordę, aby istniały tam ghettos, żółte łaty i pogromy. Zachód nie chce, aby jedne narody w tej Europie były uważane za narody „panów“, a inne za narody niewolników, aby bez sądu zamykano do więzień, aby rządono wbrew woli narodów, aby narzucono innym mowę czy religię, aby robiono z Polaków Niemców, ze Słowaków Węgrów i t. d. I oto dla świata Zachodu lotnik niemiecki jest tym człowiekiem, który dzielnie walczy o to, aby na całym świecie były obozy koncentracyjne, ghettos obmurowane wałami, żółte łaty z gwiazdą Sjonu dla Żydów, żółte łaty z fioletową literą „p“ dla Polaków, ziemia nad Wisłą i Wartą dla osadników z Frankonii czy Nadrenii, kościół Mariacki dla Niemców, Czesi wysiedleni za Ural. Lotnik niemiecki, to nie tylko człowiek, obeznany z motorem i mniej lub więcej odważny. To dla Zachodu jeszcze człowiek taki, który chce, aby Francja była wasalem Niemiec, i Anglia wasalem Niemiec, aby nie było wolnych narodów i wolnych ludzi. I choćby lotnik niemiecki był nie wiedzieć jak dzielny i odważny, to niczym sobie sympatii Zachodu nie zaskarbi. Cóż zatem robią nasi wrogowie? Mówią oni Zachodowi: tak, Polacy są dzielni, Polacy biją się przeciw Niemcom, ale Polacy są tacy sami antysemici jak Niemcy, tak samo chcieliby trzymać za mordę jak Niemcy, tak samo chcieliby robić jak Niemcy. Oto co mówią, aby nam zaszkodzić. A co my mamy odpowiedzieć?

Cel na dziś!

Zadaniem naszym na tych drogach wygnanych jest zadać kłam temu wszystkiemu. Musimy postępować tak, aby nam nikt nie mógł zarzucić i udowodnić, że jesteśmy rasistami jak Hitler, faszystami jak Mussolini, że w przyszłej Polsce nie byłoby miejsca dla Ukraińców czy Białorusinów, że wróciłaby Berezka — a nawet może w pomnożonej ilości? — że jedni by nie mieli „nic do gadania“ i byłiby „brani za mordę“, a drudzy — to jest znikoma częśćka narodu, rządzący w nagrodę za ongi położone zasługi. Czytelnik angielski nie może odnajdywać w pismach polskich ech faszystowskich czy hitlerowskich: musi w nich odnajdywać echa te same, które spotyka w pismach Zachodu, albo, lepiej jeszcze, w tym wszystkim, co słusznie stanowi po wsze czasy tytuł naszej dumy narodowej. A tym jest unia lubelska „wolnych z wolnymi, równych z równymi“, tym jest owe przeciwieństwo Berezki „neminem captivabimus nisi iure victum“, tym są słowa Zygmunta Augusta o tolerancji i wolności religijnej „nie jestem panem waszych sumień“, tym jest hasło „za naszą i waszą wolność“. Tylko w myśl tych ideałów Polska jest częścią Zachodu; przecząc tym ideałom, stajemy się częścią Wschodu, hord tatarskich, moskiewskich samowładców, azjatyckiego rozkładu, stepowej zagłady.

Sensacyjny program artystyczny
Wobec niebywałego powodzenia jeszcze przez cały czerwiec

Ela Antoszówna
Znakomity duet

Raymond i Miranda • Lauri Lawrence
Jedyni w swoim repertuarze

Gra znakomita orkiestra **ERICA TEICHA** — Od godz. 7.30 wieczorem **DANCING**
od godz. 5-tej podwieczorki taneczne

Z powodu nawału bieżącego materiału ostatni, czwarty, artykuł z cyklu „Ukraińcy w Polsce“, poświęcony „Ukraińskim partiom politycznym“ został odłożony do następnego numeru. Z przyczyn od redakcji niezależnych Przeglądu Politycznego w numerze bieżącym nie dajemy.

STANISŁAW BALINSKI.

PROBY

Idąc przez noc, co sumi tysiącem odgłosów,
Nie zatrzymuj się w drodze, nie słuchaj jej głosów.
Noc jest pełna zasadzek, zdradliwy kur pieje,
Czarne ptaki łopocą jak zwodne idee,
Błysk fałszywych proroków rozświetla noc ciemną,
A każdy kusi bogiem i każdy daremno.

Chcesz mówić. Lecz nie możesz. Słowo cię przynięta.
O jak straszny jest ciężar słów starego świata.
Wypowiedziały wszystko, wszystko wyraziły,
Natchnąć się nimi jeszcze — czujesz — nie masz siły,
Słyszano ich dźwiękiem z krasomówczy wieży
To wszystko, coś ukochał, to wszystko, w coś wierzył.

Musisz milczeć wśród nadziei, owianych żałobą,
I rozpaczyliw szpętoł, — znak, że idą z tobą
Inni, jak ty; — że błądzą, wołające szaleń: —
— Noc jest niezwykła, a my zwyciężeni —
I pod ciężarem zwątpień, co biją jak fale,
Stracając się, jak gwiazdy, żeby znów się dać.

Nie pytaj jeszcze ludzi, co jak ty pomału
Zdzierają ze ścian nocy magię ideału
I uczą się rozróżniać, jak pasterz — manowce,
Te wszystkie, co im bliskie, od tych, które obce;
Te wszystkie, które natchnął miłości szept cichy,
Od tych, co brzmią tak samo, a są głosem pychy.

Nie pytaj jeszcze ludzi i nie szukaj we śnie,
Nie ufaj tu wołaniem, bo ufać za wcześnie.
Jeszcze głosy proroków brzmią zwodnym pozorem,
A na dnie ich zwiastowań czai się daremność:
— Nie jesteś twórcą marzeń, lecz marzeń aktorem.
Zanim światło cię dotknie, musisz przetrwać ciemność.

Noc rośnie. Wielkie drzewa sumiują w poprzek drogi,
Ktoś woła, żeś mu bliski, ktoś inny, żeś wrogi.
Czujesz chłód obcej ręki, jak martwą biel płotna,
Myślisz, że śmierć... O bracie, to tylko nos smutna,
To tylko nos historii, przez którą się włączysz...
Nie tylko. Ucz się upiorem, jak się światła uczysz.

RYCERZ DEMOKRACJI

Wybór pism i autobiografia Stanisława Thugutta. Glasgow. Książnica Polska, 1942. Str. 218.

Książka w zielonej okładce. Przyjaciele autorowi wydali w Glasgow książkę, która ukazała się w Warszawie w r. 1939. Rozlegało się w niej echo walk pierwszego okresu powstania odrzodzonego Państwa Polskiego, gdy sędzią zastąpił spór o ustroj, reformę rolną, wolenie w życie zasad konstytucji marowej.

Kłisa, która doszła do władzy w ostatnich latach, dawała na raty demokrację. Słyszano szumne ruchy ideowe, urodzone w departamencie politycznym, chwytające za gardło naturalne objawy życia społecznego.

Kłisa, która doszła do władzy w ostatnich latach, dawała na raty demokrację. Słyszano szumne ruchy ideowe, urodzone w departamencie politycznym, chwytające za gardło naturalne objawy życia społecznego.



STANISŁAW THUGUTT

W tę noc polityczną książka Thugutta o ludowych brzmiała dziwnie. Nie dlatego, żeby ruch ludowy nie reprezentował większości chłopstwa polskiego, lub żeby hasła te nie znalazły posłuchu wśród większości społeczeństwa.

Wielu jednak nie rozrywnoło. Odwaga cywilna towarzyszyła zawsze Stanisławowi Thuguttowi. Dokuczała choroba, męczący niepowodzenia, doznane w toku walki, dobiły wyrwy we własnym obosie. Mimo to zjawiał się na ostatnim zjeździe Stronnictwa Ludowego, by brać udział w wypowiedziach bezwzględnej walki rezymowi oraz jego polityce zagranicznej.

Nie był trybunem ludowym, unikał porwyjących słów. Raczej przekonywał, a mógł to czynić lepiej w ciastym gronie niż na wielkich wiecach. W zdaniach jego rozlegało się echo hasła rewolucji francuskiej, słyszano można było patos wzmianek o „Przyjacielu Ludu”. Bez ręki, która straciła w roku 1920, chorą na egzeme, ze statym ciemnym zarostem wydawał się nie raz ponurym gburzem, wypowiadającym żłosiwe uwagi. Patrzac pierwszy raz na tego człowieka, wymieniając pierwsze zdania, nie wierzyło się temu, że jest on duszą Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Pracownicy ze skrajnej prawicy nazywali go Maratem. Tak sądzić można było z pozorów ze wzmianek o „Przyjacielu Ludu”. Bez ręki, która straciła w roku 1920, chorą na egzeme, ze statym ciemnym zarostem wydawał się nie raz ponurym gburzem, wypowiadającym żłosiwe uwagi. Patrzac pierwszy raz na tego człowieka, wymieniając pierwsze zdania, nie wierzyło się temu, że jest on duszą Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Człowiek, który stale wypowiadał trzęźwo swe poglądy i, zdawało się, nie ulegał żadnym impulsom gorzkiej w roku 1920 w strasliwie dni Zgromadzenia Narodowego, gdy rzucało kamienie na Prezydenta R. P., gdy zamknięto dostęp do Sejmu, gdy mordowano Prezydenta. Nie był wówczas spokojny. Nie rozdził nim jedynie rozum. Mówił nawet o namięci, ale umiał się w porę zahamować, by szukać syntez porozumienia i wczuć się nawet w argumenty przeciwnika.

Po ciężkich walkach, toczonych z trybuny sejmowej, można go było zobaczyć w Sejmie w gronie najbliższych przyjaciół. Była to grupa doborowych intelektualistów z Eugeniuszem Śmiałowskim, Świerczem, oraz bibliotekarzem sejmowym, Henrykiem Kolodziejakiem, na czele.

W tych chwilach przerwy poświęcał się różnym sprawom niesienia pomocy więźniom politycznym. Nieraz Thugutt zdawał sobie sprawę z tego, że broni ludzi, którzy nazajutrz po zwycięstwie ich sprawy powieszą na pierwszych ławach. Znał straszną sytuację demokracji i liberalizmu, którego biją z dwóch stron.

Był rzecznikiem syntezy. Czasem razili go dogmatyzm własnego stronnictwa, uciekał wówczas do różnów intelektualnych i będąc pod wrażeniem Świerczowskiego z dawnego okresu, zaczynał w Wielkopolsce, myślał w rozgoryczeniu, że dla mas można uczynić wiele, ale z masami prawie że nic. W tych chwilach wyzwał się możliwość popularności, brał na siebie ciężki obowiązek zaszczepienia w Rządzie, złożonym z fachowców z Władysławem Grabskim na czele, by wnosili ustawy językowe, jako wicepremier wpływał na ministrów w kierunku realizowania reformy rolnej.

Nie długo trwały te złudzenia. Mógł się szybko przekonać, że minęły czasy oświeconego absolutyzmu, biurokratycznego uszczęśliwiania ludzi. Odchodził więc od rządu, otwarcie przyznając się do błędu.

A przychodziły już dni coraz cięższe. Był już poza stronnictwem. Wstąpił do niego powozem, jak przyznaje się w swoich wspomnieniach, gdyż już nie było technicznej możliwości wystawienia jego kandydatury do sejmu. Chciał tylko podkreślić, że jest znowu w szereguch walczących.

Odtał stał byłym na zjazdach Stronnictwa Ludowego. W tych ciężkich chwilach, Thugutt angażował się na wiecach i zgromadzeniach, przedstawiał się mową perswadyującą, przemawiającym świetnie do zamkniętego grona intelektualistów, ale bronił i wyzwał tak, jak to czynił w r. 1922. Już nie był referentem Izby, przemawiającym językiem syntez, ale rąbał i uderzał, porwijac słuchaczy odważnym wyliczaniem grzechów rządzących.

Przez cały czas nie zapomniał jednak o sprawie najważniejszej, o obronie człowieka. Nie uspokajała go okoliczność, że gdzieś na Wschodzie jest gorzej. Nie chciał być Wschodem. Opiśwał otwarcie stosunki, domagał się naprawy. Pracując zarobkowo w instytucji społecznej, poświęcał cały wolny czas Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zasiadał tam nie dla kombinacji politycznych, nie dla rendez vous z bankrutami politycznymi, którzy z tej instytucji uczynili chęli schron dla naiwnej, roboty frontu ludowego. Nie dawał się nabierać.

Trudno jest w artykule cytować wyjątki z mów i uwag Stanisława Thugutta o demokracji. Grono przychylców wydawało książkę obłożoną kłopotliwymi listami. W tym czasie Thugutt pisał przedrukowywując, cytował uwagi i myśli człowieka, który miał odwagę cywilną przyznawać się do błędów bez potrzeby kania się, wyzwać do walki, gdy wielu schodziło z placu. Wydając tę książkę, oddano część nie tylko Thuguttowi, ale i jego ideałom, które muszą być przywrócone, nim kroczyć będziemy do dalszych osiągnięć.

Ignacy Rzezycki

Niżej drukujemy kronikę krąjącą z dwóch ostatnich numerów prasy podziemnej, jakie nas ostatnio doszły. Artykuły wstępne obu numerów podajemy w odbicie fotograficznym.

„Biuletyn Informacyjny” Warszawa, 4 marca, 1943 Nr. 9 (164).

Bój pod Krasnobrodem

Podniósłmy wielokrotnie z uznaniem fakty samoobrony wśród wysiedlanej przez okupanta ludności powiatu zamojskiego. Widząc nieuchronną zagładę swego gospodarstwa, licząc chłopcy wybiłali żywy inwentarz, jadłowal dobytek na wozy, podpalali zagrody i uciekali. Większa ilość uciekinierów szukała schronienia w lasach ordynacji zamojskiej na południowy zachód od Krasnobrodu. Wiedząc o skupieniu uciekinierów w tym rejonie i o operujących tam kilku mniejszych naszych oddziałach partyzanckich, otoczyli Niemcy 4 lutego lasy ordynackie, chcąc zlikwidować ten polski punkt oporu. W akcji wzięły udział znaczne oddziały regularnego wojska a także policja niemiecka, oddziały Łotyszów, Ukraińców i Rosjan. Obitawa natrafiała na zdecydowany opór okoczonych. Drugiego dnia po rozpoczęciu akcji uderzył niemiecki na Niemców z zewnątrz większość oddziałów naszych sił zbrojnych, przełamując pierśń i otwierając drogę ocozonym. Krwawe walki trwały do 12 lutego. Straty niemieckie znaczne, narazie jeszcze nieustalone. Osobowości uciekinierów pomyślnie przebieg akcji i poważne straty niemieckie — oto bilans walki pod Krasnobrodem.

Akcja zapisów „na Niemców” wzmagie się. We wszystkich dystryktach, t. zw. Gub. wznagą się akcja germanizacyjna, wyrażająca się werbowaniem raz drogą propagandy, drugi raz przysmusiem i groźbami na listy Stammdentschów. Obecnie komunikują nam o zapisywaniu Polaków o nazwiskach niemieckich na terenie woj. krakowskiego szczególnie w powiatach: tarnowskim, miechowskim i rzeszowskim. W pow. tarnowskim dziełom około 1000 osób otrzymuje wezwania na propagandowy odczyt tamtejszego Kreishauptmanna, po którym następuje podpisywanie podań o przyjęcie do narodu niemieckiego. Odmawiający podpis muszą swoją odmowę potwierdzić również pisemnie, co popycha pewną ilość osób do podpisywania podań. Jednak dotychczas nie zastawiano żadnych represji w stosunku do odmawiających podpisu. Podobnie również na terenie Lublina, gdzie akcja Stammdentschów została zapoczątkowana, żadnych represji w razie kategorycznej odmowy nie zanotowano.

Bez względu na to, czy represje są odmową nastąpią, czy skłonią się na straszeniu i pogroźkach, żaden Polak nie może pozwolić by zapisano go na listę Stammdentschów; jego podpis pod podaniem o przyjęcie do wrogiemu narodu pozostanie zawsze niezatartym dowodem zdrady Narodu Polskiego i Naród nigdy mu tego nie zapomni!

Z Ziemi Zachodnich

Wiadomości, nadchodzące z Ziemi Zachodnich, donoszą nam stale o pojedynczych lecz niemiennie krwawych wyrokach, wykonywanych na Polakach za drobne kradzieże, „sabotaż”, lub obrażenie „narodu panów”. Szczególnie ciężkim sercem przyrzucajmy takie wyroki, jak ścięcie w Katowicach ks. Macha i kilku innych Polaków za organizowanie pomocy dla wód i sierot po skazanych. W Poznaniu rozstrzelano 7 Polaków za pomoc zbłągłym jeńcom angielskim.

Garwoliński pies

Kilku większych i mniejszych dygnitarzy hitlerowskich szczególnie krwawo zapisało się w pamięci Polaków. Obecnie Kreishauptmann garwoliński dr. Freudenthal stał się wielokrotnie sposobami dostać na tę listę. W ostatnich miesiącach, niezależnie od stałego gospodarstwa wyniszczania powiatu, nałożył specjalny kontyngent 2000 krów, co równa się pozbawieniu bydła mniejszych gospodarstw.

Najbardziej niesłychanym wynalazkiem jest chyba jednak sposób wyścigania kontyngentu ludowego przez wyznaczenie 10 gospodarzy na gromadzie, którzy są osobiście odpowiedzialni za stawienie się kandydatów na wyjazd do Rzeszy.

Stwierdzamy, że rzeczywiście dr. Freudenthal dobrze zastępuje sobie na niemowlę i należyta zapłatę.

Obietnice i rzeczywistość

Niemia miasta polskiego, w którymby z parkanów i stupów nie wzywała propaganda niemiecka do zgłaszania się na roboty do Niemiec. Usmiechnięte twarze, fotografie czystych kwaterek, jadospisy smacznych obiadów, zapowiedź kart obywatelskich — wszystko to ma zachęcić do wyjazdu. Wzajemnym argumentem propagandy niemieckiej są listy robotników, które w ostatnim czasie, w tym roku, w urzędzie propagandy, pisane jednak, w urzędzie propagandy.

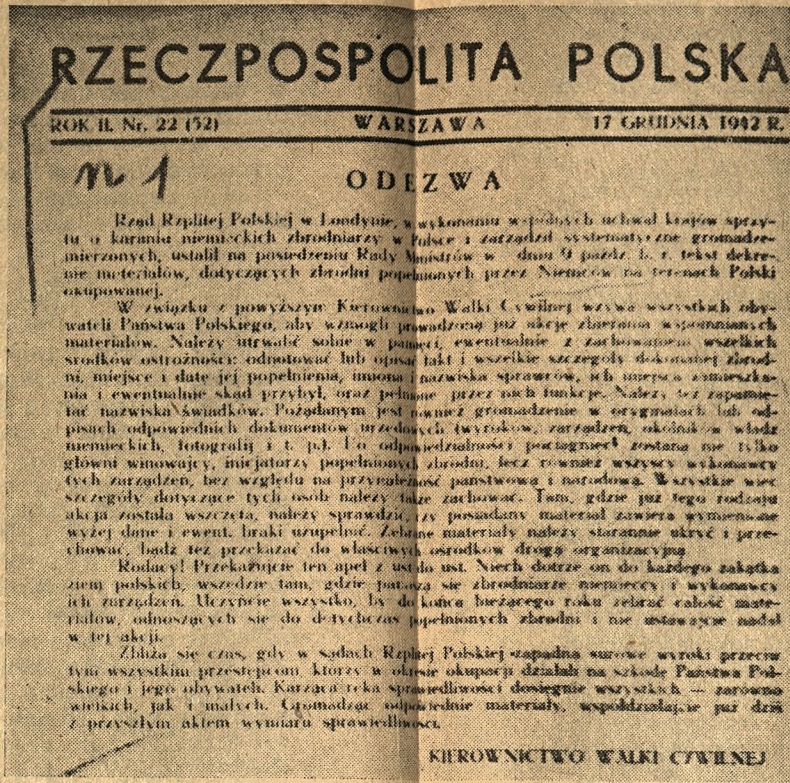
Ważniejsze brzmia prawdziwe listy, którymi przychodzą całe tysiące. Z posród setek listów, którymi dysponujemy, wybieramy jeden i podajemy go w całości.

„Mamiani rodzice. Ja już na folwarku nie pracuję od grudnia. Pracuję w kopalni węgla. Praca jest niebezpieczna i do życia coś jest mało. Praca jest podziemia 900 metrów. Już żem przeżył prawie miesiąc, ale wypadków tu jest bardzo dużo, co się obrywają skały kamienia z góry i jak trafi, to na miejscu trup, a takich jest co urwie nogę i rękę. Kochani rodzice, jest trudno do wytrzymania. Kochani rodzice, starajcie się może, trzymać mnie w waszym domu. Kochani rodzice, nieścieć mnie to wy jego poroście, to on może mnie ścigać do domu. Kochani rodzice, proszę was bardzo, może mi wysłać chleba, bo bardzo jestem głodny, a mało wydać. Co do pracy, to narazie nie wiem co będę zarabiał, dostałem tylko zaliczkę 10 marek i to wszystko. A co do pieniędzy to nie zabraknie, bo przebieżę do was, a wy mi potrzebna kłódka, by kradną, a nie mogę sobie kupić”.

Niemiecka dzielnica mieszkaniowa. W ubiegłym tygodniu rozkoparkatano zostało na murach Warszawy urządzenie podające nowe granice niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej. Została ona znacznie rozszerzona i włączono do niej obecnie część śródmieścia aż po Bracką oraz duży kawał Mokotowa.

Na uwagę zasługuje fakt, że w zarządzeniu obecnym nie ma żadnej tendencji rozdzielania ludności polskiej od Niemców, przeciwnie widac pewną zachęte do przyjmowania Niemców do pokoiów sublokatorskich.

Przyczyną tego faktu doszukiwać się należy w strachu przed natolatami lotniczymi, oraz w trudnościach zakwaterowania Niemców uciekających



ze Wschodu. To ostatnie zjawisko zabierające możemy we Lwowie dokąd ewakuowano z nad Dniepru i Kaukazu licznych urzędników niemieckich banków i przedsiębiorstw. Ewakuowani ze Wschodu Niemcy zapamiętają dość wiele Lwowskie

pomoenika. W odpowiedzi na to 2 robotników zamordowało drągami żelaznymi dwóch Niemców, poczym zbłągli. Przybyła żandarmeria rostrzelała na miejsce 5 innych robotników.

ŚWIĘTY BOŻE, ŚWIĘTY MOCNY ŚWIĘTY A NIESMIERTELNY
BŁOGOSŁAW ODWAŻNY I DZIELNY!



W czasie od listopada 1942 r. do 1 lutego 1943 r. na terenie Rzeszy zlikwidowano pięćdziesiąt trzech Polaków — agentów Gestapo. Liczba ta nie jest obiektem wykonania wyroku Sądów Specjalnych, a których donosi Kierownictwo Walki Czynnej.

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

Komunikat

Kier. Walki Konspiracyjnej

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Mazurek Szopena

W jerozolimskim zaułku
cyprysy błądzą i smutki.
O, moja przyjaciółko,
wieczór otula ogródki,

tnące snem i legendą,
pełne ciszy biblijnej,
woniające lawendą
i wonią melodyjne.

Srebrną świeci nam gloria
księżyc, płynąc jak czołno,
Niedźwiedzia i Orion
pokazują na północ,

na północ wiatry wieją,
na północ lecą myśli
z rozpaczą i z nadzieją
ku Warszawie, ku Wiśle...

Cisza otula nas senna,
o, moja przyjaciółko...
I nagle! — mazurek Szopena
w jerozolimskim zaułku!

Gra dobrze nieznamy pianista
melodję sercu zająmą.
Nuta srebrzysta i czysta,
nuta z Kraju i z domu,

mażurska, kujawska nuta
wraca do nas, serdeczna,

Do poezji

Moje życie podobne lustru,
w którym zły przegłada się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całopalny mnie rzuca stos.

Ty, poezjo, pierwsza wznieć iskry
i na skrzydłach minie mnie a nieś,
bo z popiołów wleci Feniksem
buntownicza i gniewna pieśń.

Potępiony w niebie i w piekle,
słyszę tylko, kiedy minie zwiesz,
i nie rzucam za siebie przekleństw,
tylko rzucam przed siebie wiersz.

całe życie jestem na froncie,
Ikarowy zaczynamy lot,
jak samolot, z tych nieb minie strącić,
żebym spadł, jak miadzący młot,

żebym runął sercem płonącym,
jak przedwiecznej legendy ptak:
obietnica umierającym,
a walczącym — bojowy znak.

Morze Śródziemne

Szumi morze Śródziemne
pod lewantyńskim brzegiem.
Płyną okręty wojenne
długim szeregim.

Żołnierze płyną, żołnierze,
płynie broń niszczycielska.
Mijają ciche wybrzeża
stalowe cielska.

Szafir morza i nieba
oziary naszym pokarmem.
Czegóż do szczęścia nam trzeba
na górze Karmel?

Horyzont: muszla spokoju
z radości błękitnym stropem.
Okręty płyną do boju,
do Europy.

I nie pozwól oczy zapomnieć, i serce pamięć.
Fala na północ się toczy.
Płyną okręty.

Naszą radość przez lata ciemne
wiozą wojenne transporty.
Powiedz nam, morze Śródziemne,
kiedy do portu?

Planowanie w wolnych społeczeństwach

Ferdynand Zweig, prof. U. J. The Planning of Free Societies. Londyn, Secker & Warburg, 1942. Str. 287.

Książka prof. Zweiga jest bardzo na czasie. Polityka gospodarcza nie ogranicza się już dzisiaj do wyrównania z całości drobnymi fragmentami życia gospodarczego, a zadaniem jej jest już coraz bardziej kształtowanie zasadniczych linii rozwoju gospodarczego i coraz bardziej potrzeba nam wyczerpującej znajomości środków i skutków tej polityki. Książka prof. Zweiga jest jednym z najbardziej wyczerpujących opracowań tych problemów.

Centralnym problemem książki jest pytanie, czy planowanie można pogodzić z wolnością. Przy definiowaniu pojęcia wolności mały naleśnik kładzie jednak prof. Zweig na zabezpieczenie od nędzy (freedom from want) i zabezpieczenie przed głodem (freedom from fear). Wydaje się, że tylko planowanie, t. j. polityka gospodarcza obejmująca całokształt życia gospodarczego, może zapewnić te wolności jednostce.

Prof. Zweig twierdzi, że nie można odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, czy gospodarka planowa jest lepsza od gospodarki, opartej na konkurencji i zorientowanej na zysk, i że można tylko porównywać poszczególne urządzenia gospodarki planowej z ich odpowiednikami gospodarki rynkowej i decydować o korzyściach i stratach w każdym poszczególnym wypadku.

Tylko w razie konieczności dużych ofiar ekonomicznych, np. w czasie wojny, ma gospodarka planowa — zdaniem prof. Zweiga — zdecydowaną wyższość nad gospodarką wolną. Dużo argumentów przemawia za planowaniem, o ile chce się osiągnąć pewne cele polityczne środkami gospodarczymi, jak np. zjednoczenie pewnych terytoriów lub cele społeczne, takie jak zabezpieczenie ludności od ryzyka ekonomicznego lub osiągnięcie większego stopnia równości gospodarczej jednostek. Całkowicie wątpli prof. Zweig w możliwości osiągnięcia celów politycznych przez planowanie, czy zamienić Lublin na miasto niemieckie na wzór Zamościa.

Analizę systemów planowania przeprowadza prof. Zweig głównie na instytucjach systemów gospodarczych totalitarnych, t. zn. rosyjskiego i niemieckiego, których nie można uważać za dobre przykłady kompromisu zasady planowania z zasadą wolności jednostki. Z eksperymentów planowania nietotalitarnych omawia prof. Zweig próby amerykańskie, podjęte przez administrację Roosevelta, oraz polski eksperyment COP-u. W obu tych wypadkach próby nietotalitarnego planowania są mało reprezentacyjne, bo próby amerykańskiej nie można uważać za całkowicie udaną, a eksperyment polski obejmował tylko mały wycinek naszej gospodarki, wzbuch zaś wojny przeszkodził w jego pełnej realizacji. Może najbardziej reprezentacyjne byłaby analiza wojennego planowania w B. Brytanii, tak skutecznie zastępująca system cen rynkowych i targu o pnie, że włączył się dość całkowicie powrót po wojnie do dawnych zasad.

Oczywiście, trudno dziś, w czasie wojny, wyobrazić sobie rozwiązanie problemu, jest naprawdę trwałym osiągnięciem i czy niewątpliwie wysoki poziom sprawności przemysłu i rolnictwa brytyjskiego nie jest oparty wyłącznie na poczuć dyscypliny społecznej w obliczu wojny. Książka prof. Zweiga ukazała się w maju 1942. Od tego czasu nowe wydarzenia, projekty międzynarodowego planowania, rozkładu surowców oraz międzynarodowego systemu monetarnego oraz międzynarodowego systemu kontroli, analizowane przez Zweiga, i dają, jak można przypuszczać, nowe możliwości planowego rozwoju narodowych gospodarstw przez stworzenia ram światowych, umożliwiających harmonijny rozwój. Na brak tych zaszczytów sam słusznie wskazuje prof. Zweig jako na zasadniczą trudność, wynikającą z rozbieżności systemu waluty złotej, która stworzyła dawniej taką światową więź, a która pała ofiarą planowania w ciasnej skali gospodarki nacjonalizmu. Nowe międzynarodowe planowanie jest jednak ciągle w sferze projektów, a konflikty interesów i poglądów, które się tu ujawniały, pozwalają jeszcze na przedwczesne przychodzenie do gospodarki planowej.

Włodzimierz Hagemeyer

ZDZISŁAW BRONCEL

OD BYLIN DO STALINGRADU

Czerwony film

Propaganda tak silnie przeniknęła sztukę w okresie wojennym, że z dziedziny sztuki można wyczytać wiele rzeczy, które nie zawsze znajdują swój dostatecznie jasny lub dostatecznie śmiały wyraz w dziedzinie polityki. Sukcesy polityczne torują drogę sukcesom artystycznym, na odwrót rozbudzanie odpowiednich nastrojów przy pomocy propagandy artystycznej może mieć nawet poważny wpływ dla osiągnięcia w odpowiednim momencie odpowiednich rozstrzygnięć politycznych. Nie trzeba przykładów. Przykładów banalnych jak znaczenie Sienkiewicza czy Paderewskiego dla sprawy polskiej, nie trzeba wycieczek w dziedzinę sportu: powoływania się na rolę, jaką w uzyskaniu kredytu moralnego dla Finlandii spełnił Nurmizewski następcom. Towszystko zbyt oczywiste dziś, gdy masa poprzez demokratyczny ustrój państwa ma wpływ na orientację rządu i gdy istnieje tak plastyczny, tak potężny sposób oddziaływania na masę jak film. Ogłanianie filmu odbywa się w warunkach zbliżonych do seansu hipnotycznego (ciemność, wyodrębnienie od świata zewnętrznego, miękki fotel, uluda dematerializacji, ognisko świetne skupiające uwagę); film można śmiało nazwać środkiem hipnozy w rękach politycznej propagandy. Czemu nie uwierzyć człowiek w gazetę, książkę, gotów uwierzyć patrząc na film, na fotografię rzeczywistości, życia, często po laicku nie zdając sobie sprawy, jak starannie to życie modeluje się w atelier.

Obrona Rosji zwróciła uwagę przeciętnego obywatela demokracji na Związek Sowiecki. Zaczęły się mnożyć wydawnictwa informacyjne, serie tanich „Pingwinów” i t. p. publikacje, a na rynek filmowy świata anglosaskiego — po raz pierwszy wlał się wielką falą sowiecki film. Gdyby szukać teraz w świecie filmu nowości, szukać odpowiedzi na pytanie, co świeżego przyniósł nam okres wojenny w filmowej technice, w rozwoju znanych już talentów i pojawieniu się nowych, w przemianach tematyki i problematyki filmowej, odpowiedź wypadłaby skąpo. Skurczyły się zyski i produkcja, aktorzy poszli do wojska, nie czas na próbowanie eksperymentów formy i nieznanymi wykonawców. I tak oto na plan pierwszy wysunął się fakt znamienity, niepozabawiony doniosłości politycznej i społecznej — dotarcie „czerwonego filmu” do „białego” widza.

Oczywiście, film sowiecki nie jest nowością absolutną. Nie byłby nią zwłaszcza dla Francji. W Polsce, w pewnym okresie, nim przysięgły dalsze ograniczenia cenzury, widzieliśmy sporo sowieckich filmów, że starczy wspomnieć „Potiomkina”, „Burzę nad Azją”, „Turbinę Nr. 2006”, ale w rozwoju kinematografii sowieckiej był to czas odkrywczych doświadczeń Eisensteina (później zlikwidowanego, podobnie jak Meyerhold w teatrze), Pudowkina i do nas docierał przede wszystkim ów właśnie film eksperymentalny, ultranowoczesny, wysuwający formę i technikę na czoło zagadnienia filmowego. Oglądali go kinomani, docenili estetyki i jeszcze tylko przysięgę komuny, które szły wtedy do kina, bo „także rzecze Lenin”, a niewiele się na tym wszystkim wyznawało i klasa i podziwiali nie wtedy kiedy należało. Jedna tylko komedia „Świat się śmieje” zdobyła szerszą publiczność.

Magnes Stalingradu

Dziś jest inaczej. Dziś każdy film sowiecki jest filmem z kraju, który posiada sekret stawiania oporu niemieckiej inwazji. Artysty — to współrodacy obrońców Stalingradu, to ich bracia. Atmosfera penetrującej ciekawości otaczała sowieckie obrazy, nad sowieckim filmem zaczął się unosić nimb bohaterstwa, czyli mówiąc językiem bardziej politycznym — świetna i pożyteczna gloria objęła blaskiem to, co propaganda Związku Sowieckiego podaje do wierzzenia obywatelom innych Zjednoczonych Narodów. Wreszcie dołączył się czynnik handlowy. Zainteresowanie publiczności uczyniło film sowiecki pokupnym — dziś rynek filmowy sam domaga się filmu z Rosji i przyspiesza jego ekspansję.

Przy spontanicznej wymianie dóbr kulturalnych między Zjednoczonymi Narodami — działa pilna cenzura. Ale opinia i kryteria cenzury bywają bardzo różnorakie. Dla anegdoty, dla charakterystyki, — bynajmniej ani nie nawołują do konfiskat ani nie krytykują pracy cenzora — warto przypomnieć reakcję, jaką spotkałem w Szwecji jeszcze przed wojną. Wyświetlano bardzo interesujący dla każdego filmowca film kukielkowy p. t. „Podróż Guliwera” według klasycznego dzieła Swifta. Guliwer, dobroczynny olbrzym, jawia się wśród Liliputów i swymi potężnymi ramionami popiera rewolucję robotniczą przeciw rządowi króla, dworu i arystokracji. Tak wyglądał Swift w filmowej przeróbce sowieckiej. Nie wojna dwóch państw, jak w oryginale, lecz „likwidacja” burżujów przez komunistycznych Liliputów, wspartych przez Guliwera. Kogo symbolizował Guliwer, zjawiający się jak deus ex machina i wyzwalający lud — nie trudno się domyśleć, a instytucja monarchii, zarówno jak i sama postać króla i duchowieństwo, wszystko to było zohydowane w jaskrawy sposób.

Spytaliśmy się Szweda: „Cenzura pozwala na takie podróże Guliwera do Was?” Szwed się roześmiał: „Czemuż by nie, przecież to postaciach literatury rosyjskiej z Puszkinem

bardzo zabawny film z tymi laleczkami. A w tamte gęstwiny nikt nie wierzy. My sami mamy króla, to lepiej wiemy kim jest król, mamy socjalistyczny rząd, więc wiemy co to jest monarchia, mamy uczciwych pastorów — potrafimy sobie wyrobić własny sąd o duchowieństwie”.

Trudno orzekać, czy wszyscy Szwedzi tak myślą, jak również czy wszyscy myślą tak jak Szwedzi. W postawie mego rozmówcy czuło się znajomość pozytywnej rzeczywistości w zestawieniu z negatywną propagandą. Ten Szwed miał możność porównania faktów i tezy. Nie zawsze się tę szansę posiada.

Propaganda na zapas

Napływ filmu rosyjskiego, który też i w Palestynie możemy doskonale obserwować, rozpoczyna się od obrazów typowo rozrywkowych, nawet wręcz rewiowych. A więc bądź to kolorowa wersja bajki jednego z rosyjskich klasyków, bądź „Historia Muzyczna”, która czyniąc przegląd fragmentów muzycznych i śpiewaczych w wykonaniu najlepszych solistów, daje pośrednio do zrozumienia, jakiej to jakości rozrywkę otrzymuje sowiecki robotnik po swej pełnej zapału stachanowskiej pracy. Zrzadka wywołuje się w świat anglosaski takie obrazy, jak np. wysokowartościowy „Czapajew”, jeden z czołowych filmów sowieckich, pełen jednak rewolucyjnego chaosu i krwawej brutalności. Epos rewolucyjny jest na użytek wewnętrzny, na użytek zewnętrzny idzie epos państwowy. Wielkie filmy historyczne mają kreślić odwieczną rolę Rosji w historii i starożytności, do „Orłów Stalina”, do aktualnej „Nataszy, dziewczyny z Leningradu”, wykazującej się Rosji obecnej. Od „Piotra Wielkiego”, od patetycznego „Aleksandra Newskiego” zrodzonego z epickiego technienia prastarych bylin, do reportaży z walk pod Stalingradem — rozpina umiejętnie propaganda sowiecka wielki łuk triumfalny.

Nawiasem mówiąc, film „Aleksander Newski”, który przeszedł w Jeruzolimie przez ekran kina „Edison”, widziałem jeszcze jesienią r. 1939. W świetle późniejszych wypadków zrozumiałem jego rolę „propagandy na zapas”, obserwowałem, jak co innego jest treścią oficjalnej propagandy zagranicznej, a co innego mówi się swej ludności wewnątrz kraju. Jak inny duch i głos mogą mieć dyplomatyczne pakt, a inny — informowanie własnego społeczeństwa. Mimowoli przychodzi na myśl głosne oświadczenie ambasadora amerykańskiego w ZSRR o przemilczeniu przez prasę sowiecką amerykańskiej i angielskiej pomocy dla Rosji. Po hasło o „samobójczej wojnie zgnitych burżujów Zachodu”, po hasło „robotnicy angielscy wspólnie z nami unicestwią faszystów”, przyszło hasło: „bez pomocy, my sami, siłą potężnego Związku, bohaterstwem jego ludu, prowadzimy tę wojnę i ludy Europy będą o tym pamiętać”.

Przed każdym nieomal filmem oglądamy w nadprogramach sowieckie reportaże z walk na froncie wschodnim. Należy przypuszczać, i chyba nie należy pytać, że kina sowieckie wywiązują się wzajemnością, pokazując reportaże z walk w Afryce i z przedzierania się do Rosji morskich konwojów...

Trzy są największe światła bohaterstwa w obecnej wojnie i zarazem trzy jej punkty zwrotne, kamienie milowe historii: obrona Warszawy, bitwa nad Anglią, obrona Stalingradu. W czasie, kiedy jaśniała pełnym płomieniem obrony Warszawy, a Stalingrad jeszcze spokojnie produkował towary wymienne dla Rzeszy, w czasach kiedy układ stosunków politycznych między ZSRR a Niemcami wyrażał się paktem nieagresji i przyjaźni oraz traktatem handlowym, oglądałem właśnie owego „Aleksandra Newskiego”, który teraz przyćmił, skrócony, „ugłaskany”, służy propagandzie odwiecznej wrogości niemiecko-rosyjskiej. Z jednej strony pakt z Rzeszą, z drugiej propaganda antyniemiecka, robiona fortissime. Jakże inny bywa równocześnie język dyplomacji, i język filmu.

Posłuchajmy, co mówi on nam dzisiaj.

Lud i wódz

„Aleksander Newski” stanowi klucz do sowieckiej sztuki filmowej, jeśli przez ostrość nie mówić więcej, do sowieckiej kultury, do zjawisk świata na wschód od Zbrucza i Berezyny.

Obraz należy do serii historycznej, z której wywodzi się imponujący „Piotr Wielki”, zrealizowany według powieści Aleksandra Tołstoja. „Piotr Wielki” stanowił w filmie sowieckim zwrot ku tradycji, był początkiem nawiązywania do przeszłości i podkreślania dawności i świetności rosyjskiego państwa. W obywatelach Związku miało to obudzić, i budziło z pewnością, poczucie, że Związek jest kontynuatorem wielkiego imperium, stworzonego na Wschodzie przez geniusz Rosji. Car Iwan Groźny czy Piotr, czy nawet caryca Katarzyna II, w świeżym nacjonalistycznym ujęciu propagandy, zmieniali się z satrapów, reprezentantów ucisku, w reformatorów świadomych i zaskoczonych. Na „walkę rewolucyjną”, na „wrogów ludu” wyznaczono propagandzie kolejnych carów od Aleksandra I poczynając. Podobnie działało się z literaturą i podobnie też pełno jest dziś sowieckich filmów o czołowych postaciach literatury rosyjskiej z Puszkinem

na czele, z Puszkinem — apoteozowanym, którego chętnie zapomniano, że swego czasu na zlecenie carskie wypracował „projekt edukacyjny” tak reakcyjny i satrapski, że przeraził nawet carskiego ministra.

Akcja „Aleksandra Newskiego” jest prosta. Film opowiada o walce między obrońcami Nowogrodu pod wodzą przybyłego na pomoc kniazia Aleksandra, a niemieckimi krzyżowcami. Przedstawienie tych zmagani, zakończonych klęską Niemców na Czudskim Jeziorze, daje sposobność do wykazania udziału ludu w walce, do tego samego akcentu, jaki stawia Lenin, wyrażając się o klęsce Napoleona w r. 1812, że „rosyjski lud rzucił swą siłę na szalę i lud szalę przeważał”. Kończy się film tubalnymi zaklęciem speakerki, przypominającej, że wszelki wróg, który na ziemię rosyjską wejdzie, trupem w tej ziemi zostanie.

Równocześnie, jakże mocno oddał się „Aleksander Newski” w swym stosunku do ludu od ideologii rewolucyjnego „Czapajewa”! „Czapajew” był żołnierzem rewolucji, jednym z żołnierzy, personifikował tłum rewolucyjny w filmie. Był niezindywidualizowanym symbolem, tak np. jak Żołnierz Nieznany jest symbolem walczących za Ojczyznę. Można by stworzyć film o dziejach Nieznanego Żołnierza; taki był właśnie film o Czapajewie, mimo iż mówił przecież o popularnym bohaterze rewolucyjnym.

W „Aleksandrze” skupia się wszystko wokół księcia, który jest mózgiem i wolą, geniuszem i opatrnością. Jest bohaterem narodowym — okresłoną jednostką, a jego rolę indywidualną podkreślają liczne sceny, jak np. ta, gdy wysłańcy Nowogrodu proszą go o obronę, o objęcie dowództwa wobec nadjeżdżającego krytycznego momentu. Narzuca ma to pytanie, jaki byłby los Nowogrodu, gdyby nie stało słońca jasnowidzących źrenic Aleksandra, jego bystrości, „umu”? Cóż stałoby się z ludem? Ten kult wodza, zasada wodza i żelaznej w stosunku do niego dyscypliny są ciągle podkreślane.

Zarazem wódz związany jest z ludem swą prostotą. Film pokazuje rozmyślnie Aleksandra przy wielu powszednich czynnościach, otacza go atmosferą swojactwa, jak gdyby piastowskiego „kołodziejstwa”. Aleksander Newski, wystylizowany na mocarza z rosyjskich bylin, może być kniazem i wodzem, gdyż jest jednym z ludu (mniejsza o ścisłość historyczną, idzie o tendencję), z rosyjskiego narodu, swą rodzimą siłą i „umem” wyniesionym w sposób naturalny na czoło. Można by zauważyć, że tą drogą rodzi się zawsze z demokracji regime wodza i nowoczesnej tyranii...

Siła i materia

Lecz nie odbiegajmy od filmowego wyrazu „Aleksandra”. Spotykane w nim uwielbienie siły fizycznej, prastare, samorodnej, nieokiełznanej, jest dziś bardzo znamienne w filmie sowieckim. Gdy film amerykański ceni i reklamuje życiową sprawność, odwagę i dzielność fizyczną, ale swoistą, że ją tak nazwiemy „sportową”, lub będącą w służbie szlachetnego celu, słowem się podporządkowaną innemu, wyższemu czynnikowi, film sowiecki dochodzi do ekstatycznego uwielbienia dla nadmiaru zwierzęcej energii, do hołdu dla ślepej siły witalnej. W „Bohdanie Chmielnickim” historycznie absurdalnym, filmowo — świetnym, w „Mininie i Pożarskim” (walka husarii polskiej na Kremlu), w krótkometrażówkach sowieckich, w licznych wszędzie scenach kozackich zabaw, stojących na pograniczu bójki i sadystycznych żartów — wypowiada się pochwałą prymitywnej mocy i krzepy. Legendy bylin, eposów o rosyjskich Walgierzach Wdających, tkwią do dziś dnia w tym stylu filmowym nawskroś materialistycznym.

Karol Irzykowski, formułując — nie dyskutujemy czy słusznie — odrębność filmu i teatru, widzi w teatrze mowę, mówione słowo jako odrębny środek teatralnej ekspresji. Dla Irzykowskiego teatr staje się poprzez słowo, film zaś, — sformułowanie pochodzi z czasów filmu niemelego, — uważa świetny krytyk za fotografowanie materii, za operowanie materią. Oczywiście, że twórca filmu fotografując materię tak układa i łączy jej obrazy, aby poza czysto plastycznymi wartościami artystycznymi film dawał widzowi pewne treści duchowe. Nie tylko spostrzeżenie, nie tylko wzrokowe zadowolenie estetyczne, lecz także głębsze przeżycia.

Ujęcie Irzykowskiego, chociaż dość sporne, uderzająco przylega do filmu sowieckiego, który właściwie wciąż tkwi w technice filmu niemelego. Film sowiecki istotnie przede wszystkim „fotografuje materię” i — stąd długie, rozwlekłe sceny, skłonność do przedkładania efektu graficznego nad bieg akcji, do hieratyzmu w układzie zdjęć, do bizantyizmu gestu, słowem zdecydowane zaprzeczenie kinetyki filmowej. W wewnętrznej formie — antypody filmu amerykańskiego, w wewnętrznej kompozycji, w treści psychicznej — antypody filmu europejskiego, (francuski, angielski), natomiast nieoczekiwane i to zarówno z okresu eksperymentalnej twórczości Fritza Langa („Nibelungi”, „Metropolis”, „Kobieta na księżycu”), wypędzonego z wytwórni UFA przez hitlerowców, jak i z reprezentacyjnym filmem nowego regime'u.

Te wszystkie cechy doprowadzone są w „Aleksandrze Newskim” do zenitu. Powstaje surowa, ciężka, ponura w swym gigantycznym materialnym ciężarze, bizantyjska wizja napotł legendarnego ruskiego świata. Splot zaś przesadnego „fotografowania materii”, jeśli już daleko używać określenia Irzykowskiego, z apoteozą fizycznej siły, prowadzi prosto do niezwyklej brutalności efektów. Mamy tu sceny, jakich napróżno szukać poza filmem sowieckim. Obraz amerykański czy europejski, nawet sięgający do najprzeczniejszych tematów, nie oddałby się nigdy na t. zw. „zbliznienie”, tym bardziej zaś — długotrwałe, twarzy konającego człowieka. „Aleksander Newski” natomiast posiada kilka wręcz popisowych w swej brutalności fragmentów, zrealizowanych zresztą świetnie, z największym rozmachem z posród całości filmu.

Jeden np. to scena, w której katolicki biskup chrzci dzieci, rzucane prosto przez knechtów, w oczach skowanych matek i ojców, w płonący stos. Żeby wroga na ziemi nie było, a do nieba żeby — dzięki religijności rycerza z zachodu Europy — prosto szedł. To jest myśl tej sceny, nawiasem mówiąc, usuniętej z wersji „eksportowej”. Jakby odwetem za nią jest kilka scen końcowych: pod uciekającymi knechtami załamuje się na jeziorze lód, kolejonie całe rycerstwo i knechci, a uradowany lud — zwycięzca, żerdziami spycha ofiary w wodę. Rozpaczliwa obrona życia przez tonących, chwytanie się pękającej kry, zwalę łodu, miazdzącego czaszki, przyniatającego ciała, wszystko przedstawione z niebywałą maestrią fotograficzną, z delectacją. Przez 20 lat nie widziałem w filmie tak realistycznych, tak „wygranych”, pełnych i odrażających scen konania. Jedna po drugiej.

Ten sam rodzaj duchowy, ten sam rodzaj artystyczny mają, przepełniające „Sokuzkinożurnau”, przeciągłe zdjęcia, pokazujące twarze zmasakrowanych niemieckich ofiar. Fotografia wydobywa szczegóły masakry, groteskowe i razem tragiczne skurcze trupów. Głos speakera zapowiada wieczną pamięć i wieczną zemstę, a aparat chwytą z kolei wyraz twarzy szlochających i krzyczących nad zwłokami kobiet. W tajemnicę czyjegoś nie-ludzkiego bólu wchodzimy bezceremonialnie, jakby uderzywszy pięścią w drzwi i krzyknąwszy: otwierać!

Po zwycięstwie Aleksander wie dzie skutych jeńców przez bramy Nowogrodu i obwieszcza ludowi, że będzie się teraz weselić i „sud diełat” nad wrogami ludu. „Aleksander Newski” był pierwotnie przeznaczony wyłącznie na użytek wewnętrzny, przy eksporcie znikły sceny najbrutalniejsze, mogące odrażać, a więc i zrażać. Usunięto głównie większość fragmentów, w których film z wyraźną tendencją stara się łączyć niemieckie okrucieństwo z duchem katolicyzmu. Triumf bowiem ruski nad niemieckim mieczem jest zarazem triumfem nad zniechęconym katolickim krzyżem. Krzyż symbolicznie pada i łamie się na krze, rzucony przez biskupa uciekającego w groteskowym poplochu.

Sowiecka ikona

Czym jest w sumie „Aleksander Newski”? Nazwałbym go historyczną ikonografią. Sowiecko-ruska ikona, przed którą bije się pokłony siły tłumy i samodzierżawnej krzepie władzy i opatrnościowości kniazia. Właściwie tylko obrazy walki — brak bowiem intrygi dramatycznej. Jest natomiast niska, ale dość znamienna akcja erotyczna. Jeśli pominąć nieistotną sprawę dwóch rywali, akcja sprowadza się do tego, że kobieta, dorodna, mocna, dobijająca rannych Niemców, walcząca wspólnie z mężczyznami, przeznaczona będzie najtęższemu wojakowi, chłopu jak byk. Ten quasi-miłosny wątek najlepiej by wyraził wierszem Tuwima z serii „Śtopiewni” o pięknie buhaja.

Przyjmam oczy. Widzę raz jeszcze wspańnię obrazy — filmu przykrego, filmu złego, filmu niepospolitego i odkrywającego rozległe perspektywy — „Aleksandra Newskiego”. Widzę wiele filmów. Zostawiam swobodę skojarzeniom i wspomnieniom...

I przypominam mi się niemiecka dziewczyna-lotnik, walcząca obok mężczyzn. Przypominam mi się oglądany na pokazie w berlińskiej wytwórni „UFA”, w Neubabelsberg film „Die Flüchtlinge”. Amant, mężczyzna-samiec, rozpodowice o szczęce podobnej do szczęki Goeringa. Ideał mężczyzny, ideał kochanka, podawany niemieckiej kobiecie świadomie, z myślą o przyszłości rasy, o zwiększeniu przyrostu ludności.

I zwracam spojrzenie do konopiasto-włosego, gruboszczękiego, o piersi potężnej, płaskonosego mocarza o drzemającej, bezwiednej, ślepej sile z mrocznych bylin opiewających dalekie wyprawy ruskiego człowieka-bohatyry.

Zaryzykuję twierdzenie, że filmy sowiecki i niemiecki mają odrębny od reszty filmów typ amanta. Że typ ten, poczynając od młodego, pięknego, silnego, a równocześnie delikatnego mężczyzny-chłopca, przeszedł równoległą ewolucję. To chyba nie jest przypadkiem. To chyba wyraz tego, że obydwa narody, narody najsilniejsze liczebnie na kontynencie Europy, podobnie myślą o swej sile i swej przyszłości.

OPINIE ANGIELSKIE

Nie tylko wojna i tysiące mil odległości utrudniają ścisłe i aktualne informacje. Czyni to także specjalny klimat zarówno miejsca nadawania, jak i miejsca odbioru tej kroniki. Po trzech latach pobytu Polacy w Londynie przeważnie nie znają Anglii. Przyczyną tego jest przede wszystkim to, że Anglia jest „trudna”, ale także zbyt entuzjazm, z jakim zabraliśmy się do poznawania tej „wyspy nieznannej”. Słomiany zapal zgasił zbyt łatwo po kilku „drinkach”, kilku „cocktail party” i kilku „kontaktach”. Chłodna uprzejmość Anglików, którzy milcząc wysłuchali paru złą angielszczyzną wypowiedzianych, banałów propagandowych i nieodmiennie odpowiadali: „Oh, yes” i „How interesting”, sprawiła, że uważaliśmy nasze zadanie za wykonane, zapominając o tej podstawowej zasadzie wszelkiej propagandy, która jest: przede wszystkim poznaj tych, do których mówisz.

Anglia jest odmienna od innych krajów europejskich nie tylko swym wyspiarskim położeniem geograficznym, ale także specjalnym nastawieniem myślowym i psychologicznym ludzi, którzy są zupełnie inaczej wychowani. O tym kraju i o tych ludziach mamy informować czytelnika polskiego na środkowym Wschodzie. Czytelnika, który Anglii nie zna zupełnie, który wychował się w Polsce, której przedwzruszeniowa rzeczywistość nie dawała myśli europejskiego horyzontu i który po trzech latach tułaczki, spędzonej przeważnie w nieludzkich warunkach, nie miał możliwości kontaktu z Zachodem, — tym Zachodem, który jest dla Polaka zawsze symbolem najbardziej postępowych zamierzeń. Psychiczny klimat Polaków „w drodze” jest również ciężkim orzechem do zgryzienia, co wyspiarskość Brytyjczyków, i dla tego zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie nas czekają, gdy rozpoczynamy tę kronikę.

*

Herbert Morrison jest brytyjskim Home Secretary, co odpowiada mniej więcej polskiemu ministrowi spraw wewnętrznych. Jest także członkiem gabinetu wojennego, złożonego z ósmu ministrów, którzy kierują ogólną strategią wojenną i polityczną Wielkiej Brytanii. Jest on członkiem Labour Party. Inteligencja i postępowość wysuwają go na czoło politycznych nazwisk Anglii. 8 maja w Birmingham i 9 maja w West Bromwich wygłosił Morrison dwie mowy, których spokojna rzeczowość jest godna zachwycenia. Istnieją dwie fałszywe i sprzeczne ze sobą teorie, — powiedział. Jedni sądzą, że rząd będzie w stanie stworzyć po wojnie natychmiast jakąś idealną Utopię, która automatycznie rozwiąże wszystkie nasze problemy i trudności. Inni znowu pragną jak najszybszego powrotu do tego stanu, który istniał przed wojną. „Nie wypatrujmy darmowych i łatwych Utopii. Nie spodziewajmy się, że raj zapanuje na ziemi sam przez się, skoro tylko pozbędziemy się złych ludzi, głupiego rządu, czy jakiegokolwiek innego strasaka. Słowem, nie bądźmy leniwi”. Słowa te mają bardzo głębokie podłoże. Nie można schematyzować życia, jest to prosta droga do totalizmu, a totalizm — jakiegokolwiek jego podłoże — nieuchronnie prowadzi do nowej wojny. Z drugiej jednak strony dzięki egoizm przedwojennej pogoni za zyskiem, za doradczą materialną korzyścią, nie liczącą się z niczym i z nikim, jest nie do pomyślenia. „Cały świat będzie potrzebował żywności i ubrania. Każdy będzie chciał wymalować swój dom, naprawić dach, kupić nowe dywany i nowe naczynia. Kobiety zapragną nowych sukien, a mężczyźni nowych ubrań. Cały szereg ludzi pocnie myśleć o nowych samochodach, odkurzacach i odbiornikach radiowych”. Przemysł wytoczy wałki argumenty swych potrzeb. Rząd będzie zobowiązany do wykonania zaległych robót publicznych. Ludzie poczną wracać z wojska do domów. Bez kontroli musiałyby się to wszystko zapaść, zakończyć w nowym „boomie”, w nowym kryzysie... w nowej wojnie. Więc co...? Odpowiedź na to daje Morrison w swej mowie birminghamskiej, „Nie będzie prawdziwej prywatnej przedsiębiorczości w starym tego słowa znaczeniu w wielu sferach życia gospodarczego. Właściwym problemem jest: czy należy zezwolić, aby przemysł kształtował swe interesy według swej woli na podstawie ograniczeń, monopolów i zasady „safety first”, czy też państwo potrafi przez upaństwowienie czy inny sposób kontroli zapewnić, aby był prowadzony zgodnie z interesem rozrastającego się bogactwa narodowego i zasady „praca dla wszystkich”. Morrison jest socjalistą, ale jego poglądy są znamiennie dla Anglii dzisiejszej. Dla trzeźwej, rzeczowej i postępowej Anglii, która nie egzaltuje się nierealnymi sloganami w rodzaju „mierzyć siły na zamiary”, ale swe plany oblicza w „funtach, szylingach i pensach” (tak określili raport Beveridge’a Greenwood, przewodniczący parlamentarnej Labour Party).

*

Herbert Agar jest naczelnym redaktorem „Louisville Courier”, jednego z wielkich prowincjonalnych pism amerykańskich. Obecnie służy w marynarce wojennej St. Zjednoczonych z przydziałem w Anglii. Jego smukła postać o typowo amerykańskich rysach i niemarynarskiej oszczędności gestów spodobała się Anglikom i Herbert Agar stał się w Anglii coraz popularniejszy. Ale nie tylko zewnętrznie jest on pełen kontrastu. Jego postawa myślowa i duchowa są też pełne pozornych sprzeczności. Książka, którą wydał niedawno w Anglii p. t. „A Time for Greatness”, — miała ona doskonałą prasę — jest jego wyznaniem wiary. Jak zawsze w chwilach przejściowych dziejów, istnieją dzisiaj wielkie możliwości dla tych wszystkich, którzy marzą o lepszym jutrze. „Czas pogardy” kryją w sobie zarodek „czasów wielkości”. Są okresy w historii ludzkości, kiedy wszystko wydaje się tak ustalone, że ludzie nie dopuszczają nawet myśli o możliwości jakichkolwiek zmian. Nie mają dość siły, aby oprzeć się naporowi istniejącego ustroju. Taki okres przeżyliśmy pod koniec XIX wieku i z początkiem wieku obecnego. Dzisiaj jest inaczej. Rewolucję widać w powietrzu. Każdy z nas widzi dziesiątki spraw, które chciałby zmienić i dla każdego jest jasne, iż jest to możliwe. „Zbyt wiele zręcznych reklam mówiło nam, że nie ma żalów, których nie można zaspokoić, kupując właściwą markę mydła, perfum czy wstążki. Czytelnik powinien jednak mieć na tyle zdrowego rozsądku, aby pamiętać o tym, że rozmaite patentowe wynalazki nie są właściwym lekarstwem na złamane serca i że cynizm tego świata nie zmniejszy się, nawet

jeśli wszystkie młode kobiety amerykańskie będą pachniały najlepszymi perfumami”. Zdaniem Agara zło leży niekoniecznie w wadliwości naszego ustroju gospodarczego, ale głównie w tym, że nasza podstawa moralna wobec spraw ogólnych nie jest zadowolająca.

Wydawało się nam, że postępek techniczny jest równoznaczny z postępek „tout court”, i nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ta nasza postawa jest równie nierozsądna, co niebezpieczna. Książka Agara robi swoją szczerością i fanatyczną wiarą w dobroć człowieka wrażenie kazania. Z drugiej strony nie ma w nim ani krzty doktrynerstwa. Ktoś nazwał go „the businessman — philosopher”. Jest to o tyle trafne określenie, że Agar nie zasklepia się w żadnym „izmie”, ale jego poglądy cepują rzeczowy oportunizm businessman’a.

Herbert Agar założył w Ameryce komitet pod nazwą „Fight for Freedom”. „Demokracja zaczyna się od moralności. Bogactwo i powodzenie są bardzo przyjemną rzeczą, ale nie są wiarą. Nie są podstawą cywilizacji”. Wychodząc z założenia, że o wiarę trzeba walczyć, Agar i jego komitet żądali na długo przed Pearl Harbour przystąpienia Ameryki do wojny z dumą nazywając siebie „a warmonger” i energicznie domagał się natychmiastowego wypowiedzenia wojny Niemcom. „Fight for Freedom” ma na celu polityczną propagandę jego ideałów. Siedzibę swą nazwali „The Freedom House”, pragnąc stworzyć widomy kontrast monarchijskiego „Das Braune Haus”, ośrodek postępowej, inteligentnej myśli demokratycznej.

Pomysł tego domu wolności powinien znaleźć naśladowców. Demokraci polscy, bez względu na przynależność partyjną, powinni stworzyć podobną organizację propagandy tych wszystkich ideałów demokratycznych, bez których jutro Polski nie jest do pomyślenia.

*

Sprawa stosunków polsko-sowieckich miała w prasie angielskiej swe przypływy i odpływy. Były okresy, w których głosy nabrzmiewały niemal że do rozmiarów pasji. Opanowanej, angielskiej pasji — of course. Były inne okresy, w których społeczeństwo polskie w Anglii żaliło się, że się o Polsce nie dość mówi. Głosy angielskie w tej sprawie można podzielić na 4 grupy: przyjazne Polsce, obiektywne, niepoinformowane i wrogie. Naprawdę ważne były — rzecz jasna — tylko głosy obiektywne. Była ich zresztą większość. Ta obiektywność nie zawsze wyrażała się w uznawaniu naszego stanowiska, ale zawsze rzetelnie starała się dociec prawdy. Pod tym względem prasa angielska może służyć za wzór. Dla uniknięcia nieporozumień: nawet pisma, które miały z góry swój określony pogląd na te sprawy, jak np. pisma katolickie (propolskie) czy „New Statesman and Nation” (antypolskie) wykazywały daleko idącą troskę o rzeczowość. Jeden jedyny wyjątek stanowił „Daily Worker”, organ partii komunistycznej.

W numerze majowym „The Fortnightly” ukazał się artykuł H. Foster Andersona p. t. „Soviet-Polish Relations”. Autor artykułu widzi początek obecnego konfliktu w t. zw. okresie monarchijskim,

kiedy to Sowiety na skutek błędów polityki angielskiej zarzuciły „europejską” orientację Litwinów i powróciły do tradycyjnego, rosyjskiego izolacjonizmu. Pakt rosyjsko-niemiecki z sierpnia 1939 rozwiązywał z punktu widzenia Sowieków ich problem strategiczny. Rozkładując bezceń prochu na Zachodzie, zabezpieczył się Stalin przed samotną walką z Niemcami. To rozwiązanie szło zresztą po jego linii politycznej, wyrażonej — jak to p. Anderson przypomina — w mowie wygłoszonej przez Stalina z okazji 25-lecia rewolucji.

„Najślisniejszą logiką jest logika wydarzeń”. Jak dotąd, ten swego rodzaju oportunizm uwieczniony był powodzeniem. Polska podjęła walkę, a ambasador Majski lepiej ocenił sytuację angielską niż Ribbentrop. Dalsze posunięcia, t. j. wojna finlandzka, aneksja państw bałtyckich i Besarabii, były już tylko konsekwentną grą o czas. Pan Anderson był w Moskwie w jesieni 1941 r. i omawiał z przedstawicielem rządu sowieckiego sprawy wywiezionych Polaków. Stanowisko rządu sowieckiego było następujące: „ZSRR nie uznaje narodowości jako siły, jednoczącej ludzi. Tylko państwo posiada te władze. Ponieważ państwo polskie przestało istnieć, więc nie było więcej obywateli polskich. Byli obywatelowie sowieccy, mówiący po polsku...”. W tej zasadzie uczynił wyłom pakt z 30 lipca 1941 r. Uznał on istnienie państwa polskiego i w ten sposób przywrócił rządowi polskiemu prawo do opieki nad paru milionami Polaków, wywiezionych do Rosji. Dla rządu polskiego podpisanie paktu było aktem politycznym. Dla rządu sowieckiego było ono jednak tylko „akcją wojskową, a nie polityczną. Rosjanie przyjęliby konsekwencje polityczne ugody tylko o tyle, o ile pomagałyby do wygrania wojny”. „Różnica zdań pomiędzy rządem sowieckim a rządem polskim nie jest zatem sporem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jest rozbieżnością pomiędzy poglądem rosyjskim a europejskim podejściem do sprawy”. To wojskowe znaczenie paktu dla Rosji odzwierciedla się najlepiej w zachowaniu się Rosji od chwili zawarcia paktu. „Było ono bardzo czułym barometrem wojskowej sytuacji ZSRR”. W chwili obecnej np. — jak p. Anderson tłumaczy — zależy Rosji na wzmożeniu akcji dywersyjnej i sabotażowej na Ukrainie. Stąd popieranie Ukraińców kosztem Polaków. Anglicy i Polacy czują, że działają po europejsku. Czynny polityczny i czynny wojskowy, choć często grają wspólnie, są dla ludzi o mentalności europejskiej dwoma różnymi sprawami. Polacy mogą mieć spór z Rosją, ale polskie kontrtorpedowce eskortują konwoje do Rosji i Polska walka z Niemcami trwa. Artykuł p. Andersona kończy się następująco: „Polityka stała się strategią, ponieważ Anglia nie miała ani siły wojskowej, ani woli politycznej, aby przeciwstawić się tej logice wydarzeń jaka wynikała z doświadczeń Hitlera do władzy. Nie możemy również zamienić strategii na politykę przez polityczne uznanie czysto wojskowych aktów ZSRR”.

Artykuł Andersona jest typowy przez swe spokojnej, rzeczowe podejście. Jest korzystny dla sprawy Polski. A że poglądy swoje wypowiadał w sposób zrozumiały dla Anglików, wyświadczył nam dużą przysługę propagandową.

Dominik Szczerbiec

WYSTAWA MALARZY-ŻOŁNIERZY

W Tel-Avivie otwarto dn. 13 czerwca b. r. wystawę polskich malarzy żołnierzy. Wystawa, zorganizowana przez Dział Plastyczny Wydziału Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie, przeniesiona została z Egiptu, gdzie była urządzona zarówno w Kairze, jak i w Aleksandrii. Zapowiedziano urządzenie Wystawy w Jerozolimie.

Wystawa, złożona z około pięćdziesięciu płócien i tyluż studiów, uderza jednolitością, szcze-

który jedynie decyduje w tej sztuce, tak jak w grafice linia i walor.

Na wystawie pokazano płótna Józefa Jaremy, Edwarda Matuszczaka, Jerzego Młodnickiego, Zygmunta Turkiewicza i Kordiana Zamorskiego, oraz studia Janiny Boguckiej, Józefa Czapskiego, Edwarda Matuszczaka, Jerzego Młodnickiego, Henryka Siedlanowskiego i Zygmunta Turkiewicza.



JÓZEF JAREMA:
Pejzaż z Aleksandrii
(zakupiony przez Pinakotekę aleksandryjską)

gólnie interesującą, jeśli się zważy, że biorący w niej udział malarze należeli przed wojną do rozmaitych grup. Jednolitość ta jest rezultatem wspólnej tendencji, ożywiającej wystawiających malarzy. Wszyscy oni wyszli z postimpresjonizmu i wszyscy kultywują coś, co można nazwać „oczywistością” w malarstwie. Polega ona na tym, że we wszystkich wystawionych obrazach istnieje pewna zasada, pewien „element malarski”, kolor,

Pięknie wydany katalog obok programowego tekstu wstępnego, opracowanego przez Józefa Jaremy i ks. prof. Kantaka, przynosi również reprodukcji prac artystów, biorących udział w wystawie, oraz jedną Piotra Michałowskiego i trzy Józefa Pankiewicza. W ten sposób uczestnicy wystawy spłacili hołd tym tradycjom malarstwa polskiego, do których w pracach swoich nawiązują.

HEBAN I DŁUTO

— Korespondencja własna „W Drodze” —

Nairobi, w maju 1943.

Obok torebek krytych skórą antylopy, porcelany chińskiej, drewnianej ordynarnej szafy, w której składane są akta, obok różnych egzotycznych papierośnic, wyrobów koszykarskich, tkanin i mat, niezgrabnych i tandetnych wyrobów z kości słoniowej, które turysta dołącza do swej kolekcji fałszywych skarabeuszy i „przedmiotów z grobu Tutankamena” na wystawie tej „Curiosities shop” czerni się heban, któremu dęto i nóż murzyna nadają formę zwierząt i ludzi.

Panuje tu wielka różnorodność. Jakiś wojownik z zidą i tarczą — Masai przed wyruszeniem na polowanie na lwy, wykrzywiona postać z łukiem, gotowym do strzału, kobieta z dzieckiem na plecach, dzbanem na głowie, a obok jaszczurka wydłubana z czerwonego drzewa, czarny krokodyl, bawół, pawian, siedzący na tylnych łapach. Całe życie Wschodniej Afryki. Ile w tym realizmu.

Przedmioty te, które w Europie można by wystawić na każdej z wystaw w którejkolwiek ze stolic, — „biała nędza” — europejka, będąca właścicielką sklepu, sprzedaje za umiarkowaną cenę kilku szylingów. Jeżeli jednak „przedstawiciela wyższej rasy” nie ponosi duma i pycha, może te same przedmioty nabyć na ulicy od „czarnego człowieka” za szylinga.

Skąd się wzięły te piękne rzeźby — dzieło nieznanymi artystów? Jak powstała stojąca na wysokim poziomie ludowa rzeźba murzyńska? To, co widzimy we Wschodniej Afryce, jest tylko słabym odbiciem rzeźby murzyńskiej zachodnio-afrykańskiej. Znałe są powszechnie klasycznej piękności portrety wykonane przez murzynów na Wybrzeżu Kości Słoniowej w Nigerii i Kongo Belgijskim. Czy sztuka ta powstała zupełnie samorzutnie, bez żadnych wpływów, czy też rozwijała się powoli, wchłaniając pierwiastki obcej a wyżej stojącej rzeźby? Rzeźba murzyńska już ma swoją obszerną literaturę. Przeważa w niej pogląd, że rozwijała się bez obcych wpływów. Ale czy nie popełniamy w tym wypadku błędów? Dziewiętnasty wiek, który wtargnął do Afryki z takim rozmachem, wbił w dumę przedstawicieli nowej zmechanizowanej, zindustrializowanej Europy. Afryka dla nich zaczęła się z chwilą, gdy na jej lądzie pojawili się stopy. Co najwyżej skłonni byli uznać zasługi i czyny wielkich podróżników z Vasco da Gama na czele. Wszystko, co było przedtem, lekceważono, albo całkowicie pomijano milczeniem, jako wydarzenia i rzeczy bez większego znaczenia w rozwoju „czarnego lądu”, który przez tyle wieków był przede wszystkim rezerwuarem, dostarczającym niewolników. Nie zapominajmy, że handel niewolnikami, o ile chodzi o Anglię, ustał w roku 1833, Portugalia zniszcza formalnie niewolnictwo dopiero w trzy lata później. Do połowy zeszłego wieku, czarny ląd był lądem niewolników. A czyż warto interesować się życiem duchowym, a tym bardziej sztuką niewolnika?

Od tego czasu zaszły duże zmiany. Różni badacze ślęczyli nad bogatym materiałem przeszłości, tak jeszcze niedostatecznie zbadanej. Zaczęto przypominać sobie, że nie Vasco da Gama pierwszy opłynął Przylądek Dobrej Nadziei. Felicjanus za Faraona Nechao wyruszyli przez cieśninę Gibraltaru i po trzyletniej podróży, wyładowali na wybrzeżu morza Czerwonego. Pisze o tym Herodot, Arabowie i Chińczycy utrzymywali stosunki handlowe z całym wybrzeżem wschodnio-afrykańskim, zakładając tam swoje faktorie. W roku 80-ym po Chrystusie jeden z kupców greckich dotarł do źródła Nilu, do Wiktorii Nianza, do gór Ruwenzari i Kilimandżaru, w południowo-wschodniej Afryce, w ruinach Zimbabu znaleźli porcelanę chińską, na wybrzeżach znajdowano monety egipskie i rzymskie. W pobliżu Durban wykopano z ziemi monety hebrajskie z czasów Machabeuszów z drugiego wieku przed Chrystusem.

Wpływy świata starożytnego sięgały bardzo daleko w głąb lądu afrykańskiego. Wybiły one swe piętno niewątpliwie na wielu zwyczajach, stanowiących dzisiaj zagadki, nad którymi głowia się uczeni.

Rzeźby murzyńskie przypominają Egipt i sztukę grecką. Czyż nie jest prawdopodobnym, że podobnie jak z pokolenia na pokolenie szczepy te przekazywały swe zwyczaje, wierzenia, pieśni i opowiadania, tak samo z pokolenia na pokolenie przekazywały coraz to nowe zdobywane lub zapożyczone wzory rzeźby, która w tym afrykańskim środowisku rozwijała się wśród czarnego ludu tak samo bujnie, jak przywiezione tu przez europejczyków ziarno, owoce i rośliny.

Niestety, sztuka murzyńska podobnie jak dawniej niewątpliwie ulegała wpływom obcym, ulegała im i nadal. Tania tandeta niemiecka i japońska, a później indyjska, zalewała już od szeregu lat cały kontynent. Zjawiały się figurki gipsowe, zjawiały się fotografie, zjawiały się różne afrykańskie „Epinales”, produkowane w Egipcie, a stojące o wiele niżej od tych słynnych litografii francuskich. Powstaje obawa, że podobnie jak murzyn wdziewa na siebie w bezsensowny sposób sklecony strój europejski, łączący częstokroć w jednej szacie melonik, smoking i długi bawelniany strój Araba egipskiego, podobnie i ta zachwycająca, a taka świeża rzeźba murzyńska zaczyna sięgać do wzorów, dostępnych dla siebie, do potwornej gipsowej tandety europejskiej i azjatyckiej.

Janusz Knake

W najbliższym numerze zamieścimy reportaż Ignacego Kleszczyńskiego z pobytu Naczelnego Wodza w Armii Polskiej na Wschodzie.

*

W najbliższym czasie rozpoczniemy druk cyklu reportażu Jana Janusza z życia żołnierzy polskich, internowanych w Szwajcarii.

Z prasy obcej

Trudności wewnętrzne Stanów Zjednoczonych

Na temat wewnętrznych trudności, jakie przeżywa obecnie Stany Zjednoczone, czytamy w numerze z dn. 17 kwietnia londyńskiego tygodnika „The Economist”:

„Stany Zjednoczone przechodzą obecnie przez okres poważnych politycznych niepokoїв. Już wtedy, kiedy z listopadowych wyborów Kongres wyszedł z bardzo słabą (i bardzo niesforą) większością demokratyczną, było rzeczą oczywistą, że Prezydent nie będzie miał łatwego życia na froncie wewnętrznym. Obawy te nie zmniejszyły się wskutek postępowania nowego Kongresu na sesji styczniowej, kiedy to p. Walter Lippmann oświadczył poprostu przed kilku tygodniami, że Prezydent, który panował nad pięciu Kongresami, stracił władzę nad szóstym. Powierzchniowo rzecz biorąc, wydaje się to być prawdą. Kongres odrzuca dyrektywy Prezydenta, a Prezydent stawia swe veto wobec decyzji Kongresu... Ale w Ameryce bardziej niż w wielu innych krajach powierzchowna obserwacja zawodzi...”

Możliwości produkcyjne i surowce nie są w rzeczywistości więcej czynnikami ograniczającymi. Ale zato wychodzą obecnie coraz jaśniej na światło dzienne braki amerykańskiej struktury administracyjnej w organizowaniu siły roboczej. Panuje tu wśród władz centralnych zamieszanie i zachodzenie na siebie kompetencji, związek zaś między Waszyngtonem a lokalnymi centrami administracji jest luźny. Nie sprawiło to dotychczas naprawdę poważnych trudności, albowiem aż do ostatnich czasów był jeszcze margines bezrobotnych, których można było zatrudnić. Ale poważne kłopoty w wielu istotnych działach przemysłu wywoływał brak (aż do ostatniego rozporządzenia Prezydenta, wydanego w tym tygodniu) wszelkich skutecznych środków, któreby zapobiegały samowolnemu opuszczaniu przez robotników pracy oraz praktyka lokalnych komisji poborowych, które wołały brać do wojska raczej ludzi nieżonatych i bezdzietnych, pracujących w ważnych działach przemysłu, niż ojców rodzin z mniej istotnych działów gospodarki. Ale jak pokazuje doświadczenie brytyjskie, faza „zamrażania” siły roboczej, to w istotnych działach przemysłu tylko stadium wstępne dla fazy późniejszej, kiedy trzeba kierować do tych działów przemysłu świeże kadry męzczyzn i kobiet. A do takiego kierowania Ameryka nie jest jeszcze ani politycznie przygotowana, ani administracyjnie odpowiednio wyekwipowana.

Część tych trudności można krótko ująć, mówiąc, że Ameryka nie ma żadnego Ernesta Bevana. Wielka Brytania mogła przeprowadzić na froncie robotniczym tak drastyczną politykę tylko dzięki człowiekowi, który w szeregach robotniczych cieszył się ogólnym zaufaniem. Ale amerykański ruch robotniczy jest podzielony między trzy stronnictwa i choć istnieje chwiejne zawieszenie broni między Amerykańską Federacją Pracy a Kongresem Organizacji Przemysłowych, obu partiom grozi oskrzydleniem groźny John L. Lewis. Taki układ sił sprawia, że każdemu z przywódców robotniczych byłoby bardzo trudno znaleźć się w sytuacji, w której mógłby być oskarżony o to, że zwalcza jakieś z żądań robotniczych.”

Włoskie nastroje

Korespondent tygodniowego wydania londyńskiego „Timesa” z dn. 21 kwietnia charakteryzuje nastroje włoskie, jak następuje:

„Nastrojem przeważającym we współczesnych Włoszech, jeśli sędzić z prasy włoskiej, jest nastrój czarnej depresji. Nie ma w tym nic dziwnego. Długa seria klęsk wojennych na lądzie i na morzu oraz zniszczenia w niektórych głównych miastach, wywołane przez bombardowania, to tylko część tego ponurego spektaklu, jaki staje przed oczyma Włochów. Mało spraw zdaje się pomyślnie toczyć w tym nieszcześliwym kraju, jeśli mamy wierzyć zwierciadłu prasy...”

Autor podnosi, że we Włoszech krytyka istniejących stosunków przybrała obecnie w prasie rozmiary, które byłyby nie do pomieszenia w warunkach przedwojennych. W katolickiej „Itali” kardynał Schuster skarży się na upadek moralności i na zastraszające rozmiary, jakie przybiera spekulacja wojenna. Znany dziennikarz włoski, Concetto Pettinato, zastanawia się nad tym, dlaczego cały świat patrzy na Włochy z pogardą:

„Francja straciła w ciągu trzech tygodni połowę swego terytorium i kapitulowała, a mimo to nie została zelżona przez nikogo z cudzoziemców, a my mimo że po stracie kolonii walczyliśmy i krwawimy nadal, jesteśmy lżeni przez cały świat”.

Mocno krytykuje się biurokrację. W prasie dyskutuje się m. in. i takie zagadnienia jak to, czy partia faszystowska ma być partią masową, czy też dostęp do niej ma być zamknięty dla ograniczonej grupy elity.

Najciekawszym jednak z pośród tych wszystkich jest artykuł, jaki ukazał się w „Critica Fascista”, napisany przez Bottai, do niedawna ministra oświaty. Bottai wysuwa w nim „szereg znamienitych żądań, jakie powstały dziś w duszy włoskiej”. Co to za żądania? Przede wszystkim żądanie „potencjału wojennego, stworzonego za wszelką cenę, choćby nawet w razie konieczności za cenę ofiar z innych ważnych i przyjemnych rzeczy”. Następnie idzie żądanie „kompetentnej władzy politycznej, matchonowej, jak tylko można najbardziej, szczera chęcią służenia”. Trzecim wreszcie jest żądanie „bardziej energicznego postępu w kierunku sprawiedliwości społecznej”. Nie można ścierpieć — podkreśla Bottai — współistnienia wielkich majątków i wielkiej nędzy. „Stanać przed narodem, nie rozwiązawszy przedtem problemu znacznego zwiększenia narodowego bogactwa, to znaczy stanąć przed narodem z pustymi rękoma”.

Bottai uważa, że krytyka powinna mieć swoje granice. „Wszystkie państwa są obecnie autorytatywne... ale „kiedy decyzyja i akcja tracą związek z interesem ogółu, krytyka powraca i będzie powracała na honorowe miejsce”. Po tem co autor powiedział — dodaje od siebie korespondent — o rozmiarach krytycyzmu, powszechnego obecnie we Włoszech, ta ostatnia uwaga jest równoznaczna przyznaniu się, że faszystowska „decyzyja i akcja” naprawdę „straciły związek i interesami ogółu”. Wniosek, jaki można wyciągnąć z takiego wyznania, napisanego przez człowieka, który był zaliczany do góry partii faszystowskiej, jak również z innych równie szczerzych choć mniej autorytatywnych studiów nad rozczarowaniem, jest taki, że znaczna część narodu włoskiego, włącznie

z faszystami, musi stwierdzić, że faszystowski włoski ponosił rozpaczliwą klęskę”.

Przeciwko federacji skandynawskiej

W lutowym zeszycie wychodzącego w Londynie francuskiego miesięcznika „La France Libre” Alf Sommerfelt, profesor uniwersytetu w Oslo, w artykule p. t. „Społeczeństwo norweskie i jego powojenne problemy” zwalcza koncepcję bloku skandynawskiego:

„Istnieje w Anglii nadmierna tendencja do rozważania Europy jako pewnej całości, a Norwegii jako części tej całości. Popelnia się w ten sposób ciężki błąd, albowiem Norwegia jest równie wyspiarska jak Anglia czy Szkocja, być może nawet bardziej, gdyż stosunki norwesko-szwedzkie nigdy nie były tak bliskie jak angielsko-szkockie”.

Autor daje następnie przegląd dzieł Norwegii, dowodząc iż w przeciwieństwie do Szwecji, państwa typowo bałtyckiego, Norwegia jest państwem atlantyckim, stąd jej interesy polityczne i gospodarcze nie są wcale identyczne z szwedzkimi. Dlatego to do r. 1905, w którym unia szwedzko-norweska została rozerwana, polityka szwedzka niejednokrotnie sprzeczała się z interesami norweskimi. W konkluzjach artykułu autor pisze:

„Sposób, w jaki rozwiązane zostaną problemy wewnętrzne, zależą gdzieś w znacznej mierze od polityki zagranicznej. Jest rzeczą oczywistą, że Norwegia zrezygnuje z neutralności, która miała dla niej tak katastrofalne następstwa. Ale pozostaje otwarta kwestia, czy połączy się ona ze swymi sąsiadami skandynawskimi, czy z państwami atlantyckimi — czy też z obu grupami naraz”.

Liczne koła szwedzkie zdają się wierzyć, że federacja stanowiłaby rozwiązanie problemu. Chciałyby one widzieć Szwecję na czele takiej federacji, która by uprawiała politykę neutralności z przed wojny. Norwegom idea ta wydawała się niezwykle naiwna. Wojna obecna pokazała, że bezpiecznym mogą się czuć tylko wielkie mocarstwa uprzemysłowane. Federacja skandynawska, łącząca 13 milionów mieszkańców, czy nawet 16 i pół miliona, jeśli się wliczy Finlandię, nie miałaby żadnych szans stawienia czoła temu czy innemu z wielkich uprzemysłowionych mocarstw. Ułatwiałaby ona tylko niemieckie plany rewolucyjne.

Pod względem gospodarczym Norwegowie niczego by nie zyskali na takiej federacji. Państwa skandynawskie są konkurentami na rynku światowym. Gospodarką poszczególnych z nich uzupełniają się tylko w skromnej mierze: Norwegia, Szwecja i Dania eksportują produkty rolne i inne produkty przemysłu spożywczego, Norwegia, Szwecja i Finlandia eksportują drzewo, Szwecja i Norwegia — minerały i metale. Norwegia nigdy nie zgodziłaby się na to, aby miała popaść w taką sytuację, w jakiej znajdowała się przed r. 1905. Jeśli się wtedy oddzieliła od Szwecji, to przede wszystkim dlatego, że Szwecja wywierała na politykę zagraniczną Unii wpływ, który szkodliwie odbijał się na interesach gospodarczych Norwegii.

Tylko szersza koncepcja mogłaby nam zapewnić bezpieczeństwo. Mamy nadzieję, że kiedy Niemcy zostaną pobite, inne państwa skandynawskie to zrozumieją, i że jeśli Wielka Brytania i Stany Zjednoczone stworzą coś w rodzaju unii atlantyckiej, będą gotowe przyłączyć się do niej. W ramach takiej unii państwa skandynawskie zjednoczą się na stopie równości — co będzie miało wielkie znaczenie dla ich interesów gospodarczych i rozwoju ich właściwości narodowych od podporządkowania się jakiegokolwiek centralnej władzy skandynawskiej.

O reformę brytyjskiej służby dyplomatycznej

W związku z dyskusjami w Izbie Gmin na temat reformy brytyjskiej służby dyplomatycznej i z projektami reform min. Edena pisze H. N. Brailsford w numerze z dn. 8 kwietnia „London Calling”:

Rola służby dyplomatycznej — tłumaczy Brailsford — uległa ostatnio ogromnej zmianie. Dziś, przy istnieniu telegrafu i radia, dyplomata nie odgrywa już tak samodzielnej roli, jaką miał dawniej. Dawniej, gdy w najważniejszych stolicach, Berlinie, Wiedniu, Petersburgu, istniały dwory monarsze, miało to swoje uzasadnienie, iż dyplomaci rekrutowali się prawie że wyłącznie z pośród arystokratów. Dyplomaci byli wtedy kastą zamkniętą, która nawet kontakty z prasą traktowała jako coś uciążliwego. Brailsford opowiada na ten temat bardzo charakterystyczną anegdotę z drugiej konferencji pokojowej w Hadze w r. 1907. W osiem dni po zwróceniu się do przewodniczącego tej konferencji z prośbą o rozmowę został do niego zaproszony razem z dwoma bardzo wybitnymi dziennikarzami angielskimi.

„Kazano nam koło kwadransa czekać w wielkiej sali recepcyjnej ambasady. Wreszcie w drzwiach pojawiła się uroczysta figura starszego pana, XYZ. Podeszedł w naszą stronę dwa czy trzy kroki, zatrzymał się w odległości dobrych kilku jardów od nas, zlekka, sztywno uklonił się i powiedział: „Panowie, nie mam nic do powiedzenia reporterom. Dowidzenia”. Poczem zawrócił i wyszedł z pokoju. Wspaniały portier wyprowadził nas”.

Rola poselstw i ambasad dziś — dowodzi Brailsford — to przede wszystkim pielęgnowanie wszelkiego rodzaju kontaktów między dwoma społeczeństwami.

„Powinniśmy zarwać ze starą, tradycyjną ideą, że ambasada jest miejscem, gdzie zawodowi dyplomaci, reprezentujący rządy, prowadzą rokowania. Czyż nie powinien to być raczej ośrodek, w którym przedstawicielom wszelkiego rodzaju specjalności obu narodów pomagałoby się w kontaktach? Robią to już konsulowie dla kół gospodarczych obu krajów. Istnieje także w pewnej mierze kontakt między sztabem ambasady, a prasą kraju, w którym ona się znajduje. Ale czyż nie moglibyśmy pójść dalej w tym kierunku? Ktoś np. w ambasadzie paryskiej powinien mieć za zadanie kontakty z nauczycielstwem francuskim i obserwowanie tego wszystkiego, co się dzieje we francuskim świecie pedagogicznym. A następnie, czyż nie trzeba nam sekcji naukowej, która by organizowała kontakty badaczy w różnych dziedzinach? W krajach rolniczych, takich jak Jugosławia albo Bułgaria, byłoby rzeczą pożyteczną a nawet konieczną, aby przynajmniej jeden człowiek ze sztabu poselstwa pochodził ze wsi, miał jakieś taktie pojęcie o agronomii i czuł się wśród rolników jak u siebie w domu”.

Dziennik mówiony w Jerozolimie

W końcu 1940 r. na terenie Palestyny przebywała już większa ilość uchodźców. Znajdowali się oni nie tylko w trudnej sytuacji materialnej, ale i w ciężkiej niedoli kulturalnej. Nie było w tym okresie ani polskich szkół, ani polskiej gazety, ani polskiego radia. Większość uchodźców, nie znając żadnego z języków krajowych, była pozbawiona nie tylko jakiegokolwiek strawy duchowej, ale również najbardziej podstawowych informacji, łączących ich ze światem zewnętrznym. Wtedy to jeden z najbardziej doświadczonych dziennikarzy polskich, znany pod pseudonimem dr Chruszcza, wystąpił z inicjatywą założenia tygodnika... bez papieru, bez czołonek, bez maszyn i bez funduszy. Jedynym surowcem tego jednego polskiego pisma w Palestynie miało być słowo, ale nie drukowane, lecz mówione. W ten sposób został „wydrukowany” w Haifie w styczniu 1941 r. pierwszy numer Dziennika Mówionego. Początkowo artykuły jego przypominały nieco referaty seminaryjne: brakowało im lekkości i zwięzłości. Wychodziły bowiem z pod piór nie dziennikarzy, których w owym czasie w Palestynie niemal nie było, lecz zawodowej inteligencji. Dr Chruszcza dokazywał cudów: był jednocześnie organizatorem, konferansjerem, autorem, rozklejaczem afiszów, korektorem, redaktorem, administratorem, a przede wszystkim — animatorem. Musiał wychowywać sobie zespół redakcyjny, wśród którego członków znajdowali się i byli ministrowie, i profesorowie uniwersytetu.

W maju 1941 r. Dziennik Mówiony przenosi centralę redakcyjną z Haify do Jerozolimy. Do Palestyny przebyła garstka zawodowych dziennikarzy, i Dziennik z amatorskiego, inteligentnego „organu” poczynił powoli przeskazywać się w tygodnik polityczno-społeczny i literacko-naukowy. Poziom redakcji, zasilanej już szeregiem fachowych sił dziennikarskich, niczym nie różni się od tego rodzaju pism w Polsce: Różnica polega tylko na tym, iż redaktor Chruszcza dla zrobienia przyjemności controllerowi of light industry uporczywie zaoszczędza shipping space’a i nadal „drukuję” bez papieru. Bo przecież przebywamy w ojczyźnie Biblii — gdzie „na początku było słowo”.

Z biegiem czasu redakcja Dziennika Mówionego poczyniła w pełni wyzyskiwać tę formę surowca, jakim operuje. Wszak słowo może nie tylko być mówione, ale deklamowane, śpiewane, ilustrowane muzyką. Łamy Dziennika Mówionego zostały urozmaicone recytacjami, pieśniami, piosenkami i koncertami. Dziennik Mówiony w miarę swych skromnych możliwości — staje się namiastką tak bardzo brakujących uchodźcom teatru i estrady artystycznej.

„Prenumeratory” Dziennika składają się nie tylko ze wszystkich warstw dorosłego uchodźstwa, ale również z dzieci i młodzieży. Dziennik Mówiony bowiem zdobył sobie szczególny tytuł do zaślęgi tym, że trafił do dusz i serc dzieci polskich, które — po tułaczce w Rosji — znalazły schronienie w Palestynie. Te „dodatki młodzieżowe” dra Chruszcza mają już ustaloną a zasłużoną renomę w świecie junaków i młodszych ochotników.

Jakie są zadania Dziennika Mówionego? Przede wszystkim podtrzymywanie na duchu uchodźstwa polskiego, zaspokajanie jego głodu kulturalnego i tęsknoty za polskim słowem we wszystkich jego wyrazach oraz współdziałanie we wzajemnym zbliżeniu się i zrozumieniu. Wolność słowa i przekonań jest dewizą redakcji. Każdy może mówić, na jaki temat pragnie i jak pragnie, byleby tylko nie po linii sprzeczną z polską racją stanu — Dziennik Mówiony jest jedynym pismem na terenie Palestyny, które ukazuje się bez cenzury.

W ciągu swego trzydziestomiesięcznego istnienia Dziennik ogłosił około trzydziestu artykułów, napisanych przez trzydziestu dwóch prelegentów. Dziennik otwiera szeroko swe łamy dla uroczystości i rocznic narodowych, ostatnio zaś zdobył sobie szeroką popularność specjalne numery.

W r. 1942 do najbardziej „poczytych” należały numery, poświęcone Stefanowi Żeromskiemu i 112-ty rocznicy Powstania Listopadowego, w których wzięli udział uczniowie szkoły Kadetów na Bliskim Wschodzie, wykonując fragmenty z „Warszawianki”, „Nocy Listopadowej” i „Legionu” Wyspiańskiego, oraz dziennik p. t. „Hołd kulturze polskiej”, poświęcony martyrologii nauk i sztuki polskiej.

Rok 1943, to jest trzeci rok istnienia Dziennika Mówionego, rozpoczął się pod znakiem takich właśnie numerów okolicznościowych.

17 stycznia Dziennik Mówiony poświęcony był „szkołom polskim w cieniu piramid”, 22 stycznia — obchodowi rocznicy powstania styczniowego z udziałem chóru dziewcząt z Ain Karem, 27 lutego — trzeciej rocznicy pierwszego mordu masowego, dokonanego przez Niemców w Wawrze, 21 lutego — dwudziestej trzeciej rocznicy polskiej marynarki wojennej, 7 marca — „poetom w mundurze”, 4 kwietnia — rocznicy bitwy Racławickiej, 17 kwietnia — „pisarzem z Rosji”.

Trzy swe numery majowe Dziennik poświęcił obchodom specjalnym: 1 maja — świętu robotniczemu, 3 maja — Konstytucji 3 Maja, 12 maja — akademii żałobnej ku czci marszałka Piłsudskiego.

Dziennik Mówiony jest piękną i cenną pozycją w kronikach pielgrzymstwa polskiego w Palestynie. Niestety, jego „roczniki” nie mogą być „skompletowane” ze względu na ich niematerialny surowiec. Ale jeśli kiedyś w nowej Polsce sięgnie my pamięcią w lata azylu w Palestynie, wspomnienia z tego okresu będą nierozłącznie związane z niezależnym, demokratycznym, śmiałym Dziennikiem Mówionym dr Chruszcza i jego ekipy redakcyjnej.

L.

Kronika polska

— Kairski Instytut Egipski poświęcił dn. 24 maja specjalne zebranie czterechsetnej rocznicy śmierci Kopernika. Słowo wstępne wygłosił rektor uniwersytetu króla Fuada I, dr Tana Hussein Bey; dr Max Meyerhof mówił o „prekursorze Kopernika, Arystarchu z Samos”, dr Mohammed Rida Madwar — o „Życiu Kopernika”, a prof. Aly Mostapha Mosharafa Bey — o „Mikroświecie Kopernika i ewolucji myśli naukowej”. Przemówienia wygłoszono w językach arabskim, angielskim i francuskim. W związku z jubileuszem artykuły, poświęcone Kopernikowi, ogłosiły „Le Progrès Egyptien”, „La Bourse Egyptienne”, „Le Journal d’Egypte”, (obszerny artykuł, pióra Romana Fajansa), „La Patrie”. W „Le Progrès Egyptien” czytamy: „Jest rzeczą możliwą, że nigdzie w świecie, a już szczególnie w Polsce, wypadki nie pozwolą uczynom na obchodzenie tej rocznicy. W czasach pokojowych odbyły się napewno w Polsce wielki kongres matematyków i astronomów. Podejmując inicjatywę tej uroczystości, Egipt podkreśla równocześnie swoją wolę kontynuowania wielkich tradycji międzynarodowych, przerwanych przez wojnę, jak również i swą chęć oddania holdu nauce polskiej, której Kopernik był jednym z najznakomitszych przedstawicieli”.

— Dnia 1 czerwca w Hebrajskim Instytucie Technicznym w Haifie odbyła się akademii, poświęcona czterechsetnej rocznicy śmierci Kopernika. Przewodniczył prof. Broer. Odczyt w języku hebrajskim „O znaczeniu i dziejach teorii Kopernika” wygłosił prof. Czerniawski, poczem doc. dr Frydlandowa przetłumaczyła odczyt na język polski.

— Cała prasa hebrajska poświęciła dużo uwagi rocznicy kopernikańskiej. Najwięcej — „Davar”, który dnia 23 maja ogłosił artykuł p. t. „Kopernik a hitlerowcy”, dn. 26 maja artykuł redakcyjny — „Kopernik — w czterechsetlecie śmierci”, a dn. 8 czerwca w dodatku literackim — sonet znanego poety Jakuba Kahana „Kopernik”. Poza tym artykuły i wzmianki ogłosiły: „Haarec”, „Hacofe”, „Hazman”, „Haboker”, „Hamaszki” i „Jediot Achronot”.

— „Journal de Teheran” zamieścił dn. 24 maja obszerny artykuł o Koperniku pióra doc. Zaremby.

— Dn. 23 maja odbyła się w szkole polskiej w Teheranie akademii ku czci Kopernika, na której przemawiali prof. Stanisław Kościakowski, doc. Zaremby i dr Doliński.

— Wydawany w języku arabskim w Tel-Awivie tygodnik „Haqiqat El-Amr” ogłosił w numerze z dn. 1 czerwca obszerny artykuł o Koperniku.

— Nakładem Stowarzyszenia Studentów Polskich w Wielkiej Brytanii ukazała się w Londynie broszura M. L. Ponikowskiej i Marii Jurkowej p. t. „Polish Youth Yesterday, To-day and Tomorrow”.

— Nakładem Polskiego Komitetu Kobiet dla Międzynarodowej Współpracy Kobiet wyszła w Londynie broszura Zofii Zaleskiej „The Welfare of Mothers and Children in Poland”.

— Nakładem autora ukazała się w Kircaldy w Szkocji książka p. t. Ludwika Schweizera „Wojna bez legendy”. Książka, obficie ilustrowana mapami, składa się z dwóch części. W pierwszej z nich autor charakteryzuje stan nastrojów i gotowości bojowej wojska w okresie, poprzedzającym wojnę, w drugiej, dużo obszerniejszej, omawia dzień po dniu te działania wojenne, które jako dowódca 26, pułku Ułanów Wielkopolskich miał możliwość osobiście obserwować i w których sam brał udział. Obszerne zakończenie zbiera wnioski z książki.

— W Kilmarnock, w Szkocji, ukazała się w drugim wydaniu książka V. Swicza „Poland Still Unknown”. Książka, pojeta jako kompendium informacyjne, składa się z dwóch części. Pierwsza poświęcona jest charakterystyce geografii, historii i kultury polskiej, druga omawia stosunki Polski z jej sąsiadami: wschodnim i zachodnim, oraz historię wojny 1939 r. W dodatkach podano zestawienia ilości Polaków, żyjących poza granicami Polski, trochę szczegółów z dziejów stosunków kulturalnych polsko-szkockich, wreszcie w przekładzie angielskim wiersze Kazimierza Tetmajera „Do mojego synka” i Artura Oppmana „Za króplej mojej niemieckiej krwi”.

— W Dublinie nakładem wydawnictwa The Talbot Press Ltd ukazała się już w trzecim wydaniu książka o Polsce W. T. Dobrzyńskiego. ministra pełnomocnego i konsula generalnego R.P. w Irlandii: „Poland. Lights and Shadows in the Life of an Ancient Nation”. W porównaniu do poprzednich wydań to zostało rozszerzone o nowy rozdział, szósty, poświęcony charakterystyce stosunków polsko-rosyjskich w przeszłości i obecnie. Warto przy tej okazji przypomnieć, że min. Dobrzyński jest autorem wydanej przed kilkunastu laty polskiej książki o „Współczesnym Egipcie”.

— Ministerstwo Informacji wydało w Londynie jako piąty zeszyt serii „Polish Studies and Sketches” bogato udokumentowaną broszurę, poświęconą niemieckiej polityce germanizacyjnej w Polsce: „The Quest for German Blood”.

— Davies w Londynie wydał w angielskim przekładzie książkę Arkadego Fiedlera, poświęconą działalności sławnej eskadry 303 w bitwie nad Anglią „Squadron 303. The story of the Polish Fighter Squadron with the R.A.F.”. „Nie jest to — pisze o książce „The Aeroplane” — jeszcze jedna historia Bitwy nad Anglią, ale opowiadanie o zapierającej oddech pasji, z jaką nie liczni polscy lotnicy rzucali się na nieprzyjaciela... Fiedler świetnie kaze żyć tej przeszłości... Książka żywa, pobudzająca, będąca źródłem natchnienia”. Autora tej, głośnego podróżnika, wybuch obecnej wojny zastał na Tahiti, skąd udał się on do Francji, gdzie zaciągnął się w szeregi wojsk polskich. Już w czasie wojny przedrukowano w Londynie jedną z najlepszych jego książek „Ryby śpiewają w Ukajali”, oraz inną p. t. „Kanada pachnie żywicą”.

— Adam Prager wydał w Edynburgu broszurę p. t. „How To Save Germany”.

— W Suffolk Gallery w Londynie otwarta została wystawa, poświęcona Polsce: „Poland”.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalet Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Baliński
Drukarnia: The Jerusalem Press
Jerusalem. Hassolel St. 9. Tel. 2898

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH! NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83